Bezpłatny dodatek do nr 188. „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 28 — Kraków, niedziela, dnia 11 lipca 1937 r. — Rok II

DR MARIAN RYTEL

Jak powstają odkrycia naukowe?

MYŚLENIE TWÓRCZE

Już od najdawniejszych czasów ludzie zdawali sobie z tego sprawę, jak wielkie znaczenie ma dla nich poznanie świata. W związku z tym interesowali się narzędziem, przy którego pomocy świat poznajemy, to znaczy — rozumem. Rozum, jego natura i jego możliwości były tematem wielu rozważań filozoficznych. Mimo to, a może właśnie dlatego o naszym myśleniu wiemy stosunkowo niewiele. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o myślenie twórcze, musimy narazie zadowolić się ogólnikami czekając, aż dalszy rozwój psychologii pozwoli na bliższe, bardziej szczegółowe i bardziej dokładne, oświetlenie tych procesów, które się na nie składają.

1. KIEDY MYŚLIMY NAPRAWDĘ?

Jakkolwiek bardzo często mówimy o sobie i o innych, że „myślimy", względnie, że „myślą", to w gruncie rzeczy bardzo rzadko wskazujemy na te procesy, które psycholog nazwie — myśleniem. Prof. Witwicki powiada, że „uważne krytyczne myślenie jest zbytkiem w gospodarstwie natury". W ciągu naszego życia nabraliśmy wiele różnych przyzwyczajeń i nawyków, przyswoiliśmy sobie nie wiedząc kiedy i jak całą masę najróżnorodniejszych wiadomości. Oddziaływanie rodziców i otoczenia, a czasem nawet i nasze osobiste przykre doświadczenie, nauczyło nas, jak należy zachowywać się w najrozmaitszych sytuacjach życiowych. Szkoła, książki, gazety, kino, teatr i radio umeblowały naszą pamięć w najrozmaitsze wiadomości. W wyniku tego wszystkiego dysponujemy zapasem najróżniejszych wiadomości i form zachowania się, które pojawiają się w sposób niemal mechaniczny z chwilą zaistnienia odpowiednich warunków. Takie formy zachowania się nazywamy automatyzmami.

Urzędnik w biurze, odrabiający stale jedne i te same „kawałki", nie myśli o swej pracy. Starszy nieco nauczyciel, który nie lubi swego przedmiotu, powtarza z roku na rok swoje wykłady zawsze w ten sam stereotypowy sposób. Mówimy o nim, że wpadł w rutynę. Gazety, kino, teatr, radio, książki beletrystyczne i popularno-naukowe dostarczają nam stale pewnej „strawy duchowej", którą bez specjalnego wysiłku przeżuwamy na naszych zebraniach towarzyskich, nie zawsze zdając sobie sprawę z tego, że powtarzamy jedynie cudze myśli. To wszystko nie jest myśleniem w całym tego słowa znaczeniu.

Myślenie zaczyna się tam, gdzie nie wystarczają automatyzmy i pamięć, gdzie jest pewna trudność do pokonania, — trudność, która nie da się usunąć byle jakim sposobem. Tylko niektóre sposoby mogą być odpowiednie dla rozwiązania jakiejś przykrej sytuacji, ale nie pierwsze lepsze. Należy znaleźć takie sposoby i spośród nich wybrać najlepszy, najbardziej dla danej sytuacji odpowiedni. Szukanie właściwych rozwiązań i dokonanie między nimi uzasadnionego wyboru jest istotną cechą procesu myślenia.

2. MYŚLENIE TWÓRCZE, A GOTOWY WYTWÓR TEGO MYŚLENIA — DZIEŁO.

Czytając dobrze napisaną książkę przeżywamy swego rodzaju przyjemność: podoba nam się jej jasność, przejrzysty układ całości. Widzimy, jak wszystko w tej książce jest powiązane ze sobą logicznie, jak poszczególne jej części łączą się ze sobą w planową całość. Z prawdziwą satysfakcją spostrzegamy, jak treść każdego ustępu służy do uwypuklenia i sprecyzowania myśli przewodniej dzieła, jego zasadniczej tezy. Wiemy, że autor przedtem, nim zaczął pisać, miał „w głowie" swoją książkę; jesteśmy więc skłonni przypuszczać, że tworzyła się ona w jego umyśle w taki sam sposób, w jaki ją potem napisał, a więc jako uporządkowana, planowa, logiczna całość. Nic podobnego!

W przeciwstawieniu do jasnego, przejrzystego i jagby jednokierunkowego toku wykładu, w procesie twórczego myślenia mamy cały szereg wahań, zmian kierunku, najrozmaitszych przypuszczeń, zamierzonych i porzuconych prób, szukania mniej lub więcej na ślepo. — W gotowej pracy wszystko jest jasne i jakby zrozumiałe samo przez się i nieraz dziwimy się, że uczony musiał stracić tyle czasu na odkrycie rzeczy, zdawało by się, tak prostej. Zapominamy, że ona jest dla nas prostą tylko dlatego, że ktoś inny już ją odkrył, że sami mimo jej prostoty nigdy byśmy na nią nie wpadli.

Myślenie zaczyna się od tego momentu, w którym powstaje — zagadnienie. Wobec jakiejś sytuacji powstaje w nas pytanie: „dlaczego?", względnie „jak?"... Jeżeli pytanie jest ważnym i nie możemy od razu znaleźć na nie odpowiedzi, budzi się w nas nieraz długotrwałe dążenie do znalezienia rozwiązania. To dążenie i cały szereg zjawisk, które się z nim łączą, nazywamy nastawieniem. Nastawienie charakteryzuje się tym, że badacz skupia całe swoje zainteresowanie na jednej kwestii i mobilizuje wszystkie swoje siły w jednym kierunku. — Dręczące go pytanie nie schodzi nigdy całkowicie z pola jego świadomości, ale ciągle mu się przypomina i wplata się niejako w jego codzienne najbardziej błache przeżycia. W związku z tym i codzienne zdarzenia nabierają dla badacza specjalnego znaczenia. Wszystko, co tylko mogłoby być przydatnym do rozwiązania zagadnienia zostaje natychmiast zauważone i odpowiednio wyzyskane. Jest tak, jak z tą matką, która śpi spokojnie wśród największego hałasu, a budzi się na ciche kwilenie najmniejszego dziecka. Podobnie, jak ta matka na kwilenie swego dziecka, tak i badacz dzięki swemu nastawieniu jest „uczulony" na wszystko, co może mu się przydać do rozwiązania zagadnienia.

Dzięki temu nastawieniu dochodzi wreszcie badacz do odpowiedzi na gnębiące go zagadnienie. Odpowiedź taką poddaje najpierw sprawdzeniu (weryfikacji), bądź to na drodze rozumowej (czy jest zgodna z już znanymi faktami i przyjętymi teoriami), względnie na drodze eksperymentalnej. I dopiero po tej weryfikacji zagadnienie jest albo rozwiązane, jeżeli hipoteza przejdzie zwycięsko przez tę próbę, albo trzeba zaczynać na nowo i szukać innych wyjaśnień.

3. CO MÓWIĄ BADANIA EKSPERYMENTALNE?

Aby wniknąć w istotę twórczego myślenia, przeprowadzano specjalne badania w rozmaitych zakładach psychologicznych. — Osobom badanym dawano cykl rysunków i proszono o wymyślenie opowiadania, dla którego ten cykl byłby ilustracją. Innym razem dawano im do rozwiązania zadania w rodzaju podanych poniżej.

„Dlaczego znaczek pocztowy skręca się, kiedy zwilżymy jego nagumowaną powierzchnię?"

„Dlaczego rtęć w rurce szklanej najpierw opada, a dopiero potem się podnosi, jeżeli rurkę zanurzymy w naczyniu z gorącą wodą?"

„Ma pan chorego, który ma wrzód na żołądku. W jaki sposób usunie pan ten wrzód bez uszkodzenia znajdujących się obok zdrowych tkanek?"

„Chód zegara zależy od długości wahadła. Żeby zegar chodził regularnie, wahadło musi mieć stale jednakową długość. Wiadomo, że długość tego ostatniego zmienia się pod wpływem zmian temperatury. Co by pan zrobił, żeby zegar chodził regularnie mimo tego oddziaływania zmian temperatury?"

Te i tego rodzaju badania rzuciły pewne światło na proces twórczego myślenia. Wykazały one, że ten proces przebiega zawsze od czegoś mniej do czegoś bardziej określonego. Składa się on z szeregu ogniw. Każde takie ogniwo jest kolejną próbą znalezienia odpowiedzi na postawione pytanie. Każde z tych kolejnych rozwiązań zbliża się coraz bardziej do właściwej odpowiedzi.

Najciekawszą rzeczą w tym całym procesie jest powstanie hipotezy. Taka hipoteza stwarza zawsze coś nowego. Fakty, o których wiedzieliśmy, ale których nigdy ze sobą nie łączyliśmy, zostają nagle z sobą związane i przetworzone w nową organiczną zwartą całość. Powstaje nowa synteza. Sama synteza jest czymś nowym, choć operuje materiałem znanym, opiera się zawsze na zasobach już w psychice badacza istniejących.

W jaki sposób powstaje ta synteza? Czasami da się stwierdzić, że dzięki temu, iż do jakiejś sfery zjawisk zostały zastosowane te sposoby myślenia, które okazały się odpowiednie w innej pod pewnym względem pokrewnej. Jeżeli w sytuacji B widzę pewne podobieństwo do znanej mi sytuacji A, to w stosunku do sytuacji B stosuję te same sposoby, które okazały się odpowiednie dla sytuacji A. Stąd tak wielkie znaczenie analogii dla powstawania odkryć naukowych. Nie zawsze jednak można wskazać drogę, na jakiej dokonuje się ta synteza, która stanowi hipotezę. Powstaje ona niejednokrotnie tak nagle, że badacz nie jest w stanie powiedzieć, w jaki sposób wpadł na swój pomysł.

Zreasumujmy dotychczasowe wywody przy pomocy terminów, którymi operuje psychologia. Rozwiązanie jakiegoś zagadnienia jest równoznaczne z wytworzeniem się nowej struktury psychicznej. Niezbędnym warunkiem powstania takiej struktury jest odpowiednie nastawienie. Jak dotychczas, sposób powstawania takich struktur nie daje się jeszcze dokładnie psychologicznie wyjaśnić. Nie ulega wątpliwości, że w grę wchodzą tu indywidulne właściwości odpowiednich osób, ich jakgdyby konstytucja psychiczna. Istnieją ludzie, którzy niewolniczo trzymają się szablonu i utartych szlaków myślenia, i inni zdolni do wytwarzania nowych oryginalnych syntez. Ludzi, którzy mają szczególną łatwość wytwarzania nowych struktur psychicznych, nazywamy geniuszami.

4. ZAKOŃCZENIE: JAK POWSTAJĄ ODKRYCIA NAUKOWE?

Mówiąc o warunkach wpływających na powstawanie odkryć naukowych, wyróżniliśmy ich cztery rodzaje. Uprzednio na łamach „Tygodnia" omówiliśmy kolejno dynamikę rozwoju nauki, wpływ warunków społecznych i znaczenie przypadku dla powstawanie odkryć naukowych. Obecnie po omówieniu procesów twórczego myślenia została nam jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Musimy pokrótce streścić wyniki, do których doszliśmy.

Nauka jest wytworem zbiorowości. Powstaje i rozwija się powoli dzięki pracy pokoleń, z których każde wnosi coś do skarbca nauki. Odkrycie naukowe jest zawsze wynikiem wytężonej pracy szeregu badaczy. Czasami szczęśliwy zbieg okoliczności pozwala badaczowi na odkrycie faktów, których istnienia nie podejrzewał. względnie ułatwia mu znalezienie odpowiedzi na zagadnienie, którym się zajmował. Zdobycze poszczególnych pokoleń nie giną, ale zostają utrwalone i przekazane innym, którzy kontynuują pracę swych poprzedników. Wzrastający powoli dorobek nauki pozwala na stawianie i rozwiązywanie coraz to nowych zagadnień.

—oOo—

ANTONI WAŚKOWSKI

NOKTURN

Zapachło falą pszenic,
zapachło polem - żytem —
strop nieba zszedł do źrenic
sciemniałym już błękitem...

Wilgotna, ślepa głusza
bez tchu przysiadła w lesie —
— — cóż smutna moja dusza
zadumę ciężką niesie?...

Spojrzała wkrąg tęsknicą
bezkreśnie a daleko
za ciszą bladolicą,
za rzeką — Wisłą - rzeką...

Westchnęła falą pszenic
i wonnym polem - żytem — —
noc zeszła jej do źrenic
gwieździstym aksamitem...

Westchnęła jakby na śnie,
gwiazd sięga jak klawiszy — —
— — odchodzi — blednie — gaśnie — —
— — i śpiewa coraz ciszej...

DR EM. OSTACHOWSKI (Kraków)

W 200-lecie urodzin Galvaniego

Świat naukowy włoski przygotowuje w Bolonii wielkie uroczystości z okazji przypadającej za parę tygodni dwusetnej rocznicy urodzin **Ludwika Alojzego Galvaniego** (1737—1798). Galvani dokonał odkrycia naukowego — zresztą zupełnie przypadkowo — które otworzyło nowe, nadzwyczaj żyzne, pole dla badań fizycznych w dziedzinie prądów elektrycznych.

Z ŻYCIORYSU.

Urodził się prawie 200 lat temu, bo 9 września 1737 roku w Bolonii. W mieście rodzinnym pracował początkowo jako lekarz, po ukończeniu studiów medycznych. W r. 1775 otrzymał w uniwersytecie bolońskim katedrę anatomii i pozostawał na niej aż do roku 1798.

W tym roku odmówił przysięgi rządowi Rzeczypospolitej Cisalpińskiej, stworzonej przez Napoleona. W represji wobec niego posunięto się tak daleko, że nie tylko odebrano mu katedrę, ale wszystkie odznaczenia i tytuły.

Wkrótce jednak zorientowano się, że uczyniono człowiekowi zasad i wielkich zasług naukowych oczywistą krzywdę, i jeszcze w tym samym roku zwrócono mu odznaczenia i tytuły naukowe. Ale nie cieszył się nimi długo, albowiem zmarł 4 grudnia 1798 roku.

PRACE GALVANIEGO.

Jako anatom i fizjolog zajmował się Galvani ruchami mięśni i wrażliwością nerwów. Do badań używał żab, które najrozmaiciej preparował dla tych celów.

W roku 1780 zauważył przypadkowo, że iskra elektryczna działa w pewien swoisty sposób na spreparowaną żabę. Oto jak sam opisuje to zjawisko, w dziele p. t. „De viribus electricitatis in motu musculari commentatis“:

„Robiłem dysekcję żaby — pisze Galvani — odpreparowałem ją i położyłem na stole, na którym stała machina elektryczna. Gdy jeden z moich pomocników przypadkiem dotknął końcem skalpela bardzo lekko wewnętrznych nerwów udowych żaby, wszystkie mięśnie stawów zdawały się kurczyć kilkakrotnie, jak gdyby były pozornie opanowane przez gwałtowne skurcze toniczne. Ale innemu, który nam pomagał przy doświadczeniach z elektrycznością, wydawało się, iż zauważył, że stało się to podczas wydobywania iskry z konduktora machiny. Zdziwiony tym nowym zjawiskiem, zwrócił na to uwagę mnie, który miałem zupełnie inne zamiary i w myślach byłem pogrążony. Wtedy ogarnął mnie niewymowny zapał i żądza, żeby poddać to próbie i wydobyć na światło dzienne przyczyny tego zjawiska. Dotykałem więc sam końcem noża tego lub owego nerwu udowego, a w tej samej chwili jeden z obecnych wydobywał iskrę. Zjawisko było zawsze takie same. Gwałtowne skurcze występowały niechybnie w oddzielnych mięśniach stawów w tej samej chwili, w której przeskakiwała iskra tak, jakgdyby zwierzę dostawało ataku tężca. Wziąwszy jednak pod uwagę, że ruchy te mogły być spowodowane nie tyle przez iskrę, ile raczej przez dotknięcie noża, co, być może, wywoływało podrażnienie, dotykałem nożem tych samych nerwów w ten sam sposób u innej żaby i to mocniej, ale wówczas gdy iskier nikt nie wydobywał. Lecz żadnych ruchów nie udało mi się dostrzec. Przyszedłem więc do przekonania, że do wywołania zjawiska są potrzebne dotknięcia jakimś ciałem i iskrą“. (Cytowane na podstawie polskiego tłumaczenia zawartego w wydaniu zbiorowym p. t. „Dzieje rozwoju fizyki“. Tom II, str. 44—46). Cytat ten charakteryzuje dobrze kierunek początkowych prac Galvaniego.

POPRAWKI VOLTY.

Badaniom tego rodzaju poświęcił Galvani całe 10 lat i dopiero w roku 1790 je zakończył, a w roku 1791 ogłosił drukiem w przytoczonym dziele łacińskim. Tłumaczył on te zjawiska o tyle błędnie, że źródła tych skurczów dopatrywał się w mięśniach i nerwach spreparowanego zwierzęcia. Słuszność zaś miał w tym, że przypisywał je elektryczności. Przeciw przyjętej jego hipotezie, jakoby tutaj miała działać elektryczność zwierzęca zawarta właśnie w mięśniach czy nerwach żaby, wystąpił fizyk Aleksander **Volta**. Początkowo Volta podzielał zapatrywania swego rodaka, ale jasny i bystry jego umysł odkrył zaraz braki w teorii Galvaniego i po szeregu celowych doświadczeń, obmyślanych nadzwyczaj trafnie, a przeprowadzonych zręcznie znalazł **źródło prądu w zetknięciu dwóch różnorodnych kawałków metali.**

Volta przerobił dokładnie doświadczenia Galvaniego i udowodnił, **że udo żabie jest** jedynie **przewodnikiem prądu elektrycznego,** sam zaś prąd powstaje przez zetknięcie się dwóch różnorodnych metali z roztworem soli zawartym w tkankach uda. Jeżeli zatem znajdzie się w jakimś naczyniu, a niekoniecznie w tkankach, roztwór soli, a do tego roztworu zanurzymy dwie różnorodne płytki metalowe, wówczas powinien powstać prąd elektryczny. Prawdziwości tego przypuszczenia dowiódł Volta przez to, że w roztworach różnych soli, a także w roztworach związków chemicznych zwanych kwasami i zasadami zanurzał płytki metalowe i uzyskiwał prąd elektryczny. W ten sposób powstały pierwsze ogniwa, nazwane na cześć Galvaniego, galwanicznymi. Wystarczy więc, jak to zrobił Volta, zanurzyć w roztworze kwasu siarkowego jedną płytkę miedzianą, a drugą cynkową, aby powstał prąd elektryczny, którego obecność łatwo wykazać przy pomocy urządzenia nazwanego na cześć Galvaniego — galwanometrem.

ZASŁUGI GALVANIEGO.

Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że prace Galvaniego, dzięki geniuszowi Volty, pchnęły naukę o elektryczności na zupełnie nowe tory. Zapał, z jakim sam Galvani oddał się badaniom „elektryczności zwierzęcej“, porwał także rzesze jego zwolenników. Powstał cały nowy dział nauki o prądach elektrycznych i ich powstawaniu, zwany „galwanizmem“. Co prawda, jest to już dzisiaj nazwa raczej historyczna, ale cały szereg aparatów i urządzeń (ogniwa, galwanometry, galwanoskopy i t. d.) są związane swymi nazwami z tym działem fizyki, który stworzył Galvani. O wpływie zaś jego odkryć na masy społeczne świadczą następujące słowa historyka Dannemanna: „Gdzie tylko znalazły się żaby i dwa kawałki metalu, próbowano naocznie przekonać się o istnieniu „elektryczności zwierzęcej“.

Prace Volty, jakkolwiek doprowadziły do odmiennej, w porównaniu z Galvanim, teorii prądu elektrycznego, zresztą zgodnej z rzeczywistością, nie uszczupliły w niczym zasług Galvaniego, które dzisiaj po 200 latach od dnia jego urodzin, z zapomnienia wydobywają Włosi, ku chwale narodowego imienia.

DR J. STOBIECKI

„Militaryzacja Boga“ w III Rzeszy

Wiedeń, w lipcu.

Narodowy socjalizm niemiecki nie ogranicza swej zachłanności do spraw ziemskich. Chce on nie tylko ludzi i ich sprawy, ale również i niebo — zglajchszaltować. Zresztą narodowy socjalizm musi to robić, gdyż w przeciwnym razie zbyt wielu ludziom mogłoby przyjść na myśl, że lepiej czekać biernie śmierci, by mieć po zgonie spokój w niebie. Tymczasem złudne nadzieje! I w niebie nie będzie miała opozycja — twierdzi hitleryzm — spokoju. Hitleryzm chciałby i Boga pod groźba rewolweru zmusić do przypięcia swastyki.

Rzecz osobliwa, że nawet najbardziej wrogo w stosunku do siebie nastrojeni nacjonaliści mają tę wspólną cechę, iż idą z soba ręka w rękę, gdy chodzi o zwalczanie dawnych religij. Natomiast neopoganie każą swoim bogom walczyć z sobą, a nie tylko z dawną religią.

Tak np. Ludendorff jest bezwzględnym wyznawcą Wotana, jakkolwiek nie jest narodowym socjalistą, a w Japonii zaznaczają się silne prądy antychrześcijańskie, chociaż Japonia nie jest narodowo-socjalistyczną. I oto zarówno w Japonii, jak i w Niemczech wysuwa się te same argumenty przeciwko chrześcijaństwu. Rząd japoński zażądał przed mniej więcej rokiem od chrześcijańskich organizacji, by zjaponizowały naukę Chrystusa, a przede wszystkim, by usunęły z niego wszelką „gadaninę o pokoju“. W ten sposób obserwujemy u Japończyków, tych „Prusaków Wschodu“, prąd niejako równoległy do niemieckich usiłowań pogodzenia chrześcijaństwa z narodowym socjalizmem w teologii „niemieckich chrześcijan“.

„Chrystus — pisze Ludendorff — jest zbyt międzynarodowy, a Kościół w dodatku jest pacyfistycznie nastrojony. W czasie wojny powstaje prawdziwy dylemat, gdy wszystkie kraje wyruszają na wojnę w imię tego samego Boga, wszystkie narody modlą się do tego samego Zbawiciela, a mimo to rozbijają sobie wzajemnie czaszki. Zwycięstwo lub klęska następują, jak wiadomo, z woli Boga, a każdy dowódca wojskowy, który przegra bitwę, musi sobie powiedzieć, że przegrał ją z woli wyższej.“ „W ten sposób — ciągnie dalej perfidnie Ludendorff — nie ma miejsca dla człowieka jako twórcy historii. Fakt, że wszyscy żołnierze państw biorących udział w starciu w czasie wojny światowej wzywali tego samego Boga, był ogromnym ciężarem psychologicznym. Do czego to może doprowadzić, pokazała wojna o Gran Chaco. Żołnierze obu frontów porzucili wśród walki swe stanowiska, by wziąć udział we wspólnym nabożeństwie kościelnym.“

Dla Ludendorffa, wyznawcy Wotana, boga wojny, stanowi to powód do oskarżania Kościoła o zdradę narodu i do propagowania swoistej wiary w Boga. W swoim organie („Am heiligen Quell...“) pisał on ostatnio m. in.: „Wypadek ten (Gran Chaco) rozświetlił, niczym błyskawica ciemności, fakt, jak niebezpiecznym może stać się chrześcijaństwo i jego nauka w czasie wojny między zwolennikami tego samego wyznania chrześcijańskiego dla świetego obowiązku walki o byt narodu. Radosne sprawozdania prasy katolickiej o pobożności żołnierzy ukazały całemu światu, jak wysoko ceni Kościół taką zdrade narodu dla obowiązków wyznaniowych.“ Na marginesie powyższych rozważań oświadcza Ludendorff, że te jego poglądy płyną z poczucia obowiązków „wodza wojennego“.

W rzeczywistości są one ważną częścią składową totalnej mobilizacji narodu, chociaż ta „niemiecka wiara w Boga“ wybitnie zagraża jedności państwa.

Jeżeli więc obecnie w Niemczech dąży się do tego, by święta narodowe zyskały sobie przewagę nad świętami chrześcijańskimi, to wskazuje to na fakt, że narodowy socjalizm chce w jak najwyższym stopniu podporządkować niebo swoim celom, czyli inaczej mówiąc, chce zglajchszaltować „niebo“.

Katolicyzm nie może stać się tak „narodowym“, jak tego żąda narodowy socjalizm, który mówi: — Niemcy winni już nie tylko kupować niemieckie samochody i jeść niemieckie owoce, ale także modlić się tylko do bóstw niemieckich. Niech żyje totalna autarkia, niech żyje Wotan!

Totalna mobilizacja popada w niezgodę z chrześcijaństwem, które w swej całej istocie i nauce nigdy nie uznawało i nie uzna zasad rasizmu, propagowanych przez narodowy socjalizm. We Włoszech, gdzie faszyzm nie zna mistyki rasowej, nie wyłaniały się podobne problemy, jakkolwiek toczyły się między faszyzmem a katolicyzmem gwałtowne walki.

Sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, kard. Pacelli, powiedział niedawno: „Ojczyźnie należy być oddanym tak, jak ukochanej matce, a nie jak bóstwu budzącemu postrach. Miłość ojczyzny, która czyni ojczyznę jakimś tyrańskim, żądnym krwi bóstwem, jest miłością fałszywą. Niech Bóg ustrzeże wszystkie kraje przed takim biczem“.

Dla niemieckich szowinistów takie stawianie sprawy oznacza zdrade narodową i przeklęty internacjonalizm. To jest właśnie najistotniejszą przyczyną ujawniającego się w Niemczech kryzysu wiary w Chrystusa. Próby stworzenia kompromisu między krzyżem Chrystusa, a krzyżem hitlerowskim nie udadzą się: doprowadzi to albo do zmartwychwstania Chrystusa bez krzyża hitlerowskiego, albo do dalszego Jego zwalczania przez stworzenie jakiejś osobliwej wiary w Boga.

Wotan Ludendorffa natomiast da się zmilitaryzować. Zapewnia o tym Ludendorff. Tylko ten „bóg niemiecki“ jest o tyle niewygodny dla swoich czcicieli, że nie zostawił po sobie żadnego wizerunku, żadnego nawet słowa. Tym wieksze pole do popisu ma p. Ludendorff. Ale złośliwi pytają: Kiedy z Wotanem rozmawiał?

ADAM BAR

Wśród książek

Z książek **Stanisława Wasylewskiego** przegląda indywidualność pisarza wielkiej kultury, doskonałego znawcy przeszłości, jej wielkich spraw i niedostępnych nieraz zakamarków szarego życia. To sprawia, że książki Wasylewskiego mają jakąś sugestywną siłę, pociągający urok. Jedną z nich jest jego **„Niezapisany stan służby“** (wyd. Roju). tytuł na pierwszy rzut oka chyba zrozumiały. Bo jest to właściwie rodzaj pamiętnika czy raczej szukanie w dalszej czy bliższej przeszłości zdarzeń i ludzi, których z tej czy innej przyczyny dzień wczorajszy zepchnął w zapomnienie, albo nie dosyć sprawiedliwie postawił w szeregu zasług. Słowem Wasylewski pragnie tym, których stan służby opinia publiczna czy tradycja niezbyt sprawiedliwie zapisała, uzupełnić własnymi wspomnieniami. Opowiada więc o ludziach, ze środowiska przedwojennego Lwowa, których spotkał w swoim życiu, wyprowadza z ukrycia poetów, aktorów, żołnierzy, dziennikarzy, uczonych, i bibliotekarzy, ukazując ich czytelnikowi w codziennej postaci, w drobnych szczegółach, przyzwyczajeniach i nawykach, uchodzących uwagi gestach, pragnieniach i zawodach, i w ten sposób tworzy sylwetki, i mimo tej sylwetkowości, postacie ogromnie plastyczne. To spojrzenie w niedawną przeszłość, którą jednak wojenne wypadki odgrodziły od teraźniejszości tak sumiennie, że niemal znika z oczu, odznacza się właściwym Wasylewskiemu pogodnym uśmiechem, swobodą i miekkim gestem pobłażania dla wad oraz niedociągnięć. Czuje się, że Wasylewskiemu ci ludzie z przedwojennego Lwowa, są bardzo bliscy sercu, że pragnie nasycić niejako samego siebie wspomnieniami, a dopiero potem ukazać ich czytelnikowi. Że byli inni, jak się może o nich mówi, i że dawniej było lepiej. Może w to ten czy inny wierzyć albo nie wierzyć, ale w książce Wasylewskiego wszystko jakoś inaczej wygląda. I ludzie i czasy, smutki i radości, wielkie i małe sprawy. Naprawdę jest to piękna książka

——oOo——

Bardzo sumienną „pracą z historii literaury polskiej“ jest książka **Marii Szurek-Wisti** pt. **„Miriam-tłumacz“**. Sprawa przekładów należy do słabych stron naszej literatury; każdy, bez względu na to, czy ma odpowiednie przygotowanie, czy też nie, byle tylko znał jakiś obcy język, uważa się za powołanego do tłumaczeń. Stąd wypływa smutna przyczyna, że choć bardzo skwapliwie staramy się przyswoić arcydzieła obcej literatury, czynimy to jednak w tłumaczeniach tak nieudolnych, że odstraszają nawet najbardziej cierpliwego czytelnika. To też zajrzenie do warsztatu tłumaczeniowego Miriama jest niewątpliwie rzeczą bardzo pouczającą. Autorka przystąpiła do swojej pracy z bardzo starannym przygotowaniem, zaznajomiła się z wszystkim co u nas, a również za granicą, powiedziano o tłumaczeniach zarówno ze stanowiska teoretycznego jak i o technice przekładów. Błędem jest tylko, że tym wszystkim nadmiernie obciążyła swoją rozprawę dając jej już na pierwszy rzut oka posmak szkolny. Ale to niedociągnięcie, będące wadą początkujących pracowników naukowych starających się wyładować swoją wiedzę, wynagradzają dalsze rozdziały pracy, w których autorka przy pomocy drobiazgowej analizy i porównań tekstowych przedstawiła, jaki był stosunek Miriama do dzieła, które tłumaczył, i z jakiego związku artystyczno-psychologicznego ten stosunek wypływał. Wielka swoboda w poruszaniu się w literaturze zagranicznej ułatwiła autorce analizę porównawczą, zaś wnikliwość artystyczna pozwoliła na snucie często bardzo trafnych spostrzeżeń. Z jednym tylko nie zgodzę się, a mianowicie, że prof. Czubek był grafomanem. Kto znał znakomitego tłumacza i wydawcę, który uważał napisanie nawet krótkiego artykułu za kamienny trud, i bronił się przed atramentem, ten niewątpliwie nigdy nie nazwie go grafomanem. Ale pomijając i ten niesłuszny zarzut, praca autorki (po przeprowadzeniu pewnych skrótów) jest ciekawym wprowadzeniem do techniki przekładów, i dlatego powinni ją przestudiować ci, którzy chcą zacząć trudny, a niestety tak często u nas bagatelizowany zawód tłumacza.

——oOo——

Jest to osobliwa książka, jak również dziwne są koleje życia jej autora. Zacząłem czytać powieść **Sergiusza Piaseckiego** pt. **„Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy“** (wyd. Rój) z pewnym sceptycyzmem, dlatego, że poprzedziła ją szumna reklama, lecz w miarę zagłębiania się w tragiczne **dzieje** prze-

Wieści zza czerwonego kordonu

ODRODZENIE RELIGII W Z. S. R. R.

Podczas **ostatnich świąt** Wielkiejnocy w Z. S. R. R. (**obchodzonych według** cerkiewnego stylu **2 i 3 maja**) dla każdego obserwatora **stało się jasne, że** odrodzenie religii w Sowietach **czyni postępy**. Cerkwie były przepełnione. **Nie** skończyła się jeszcze parada pierwszo**majowa**, a na ulicach Moskwy (i innych **miast**) przeciągnęły długie szeregi obywa**teli, spieszących** się, by zanieść do cerkwi „**kulicz**" i malowane jajka — tradycyjne **rosyjskie** święcone. „Prawda" donosi, że w **Zagłębiu** Donieckim całe brygady robotników **nie** stanęły do pracy i „Gudok" twierdzi, że kolejarze gremialnie świętowali Wielkanoc i zdezorganizowali cały ruch kolejowy.

Statystyka sowiecka ustaliła z przerażeniem, że przed Wielkanocą sprzedano w Moskwie różnych towarów, przede wszystkim spożywczych, na 100 milionów rubli więcej, niż w okresie normalnym. Trzeba przyznać, że dla wynędzniałej Moskwy cyfra istotnie zastanawiająca. Do Leningradu, Moskwy i innych miast przywożono z daleka twaróg (używany tradycyjnie na „paschę") i całe transporty jaj. Biorąc pod uwagę okropne warunki sowieckie, kolejowe i inne, drożyznę i brak produktów, nie można było nie zwrócić na te fakty uwagi. Świadczyły one wyraźnie, że ludność Z. S. R. R. w tym roku postanowiła obchodzić święta wielkanocne zgodnie z wiekową tradycją, mimo przeszkód i szykanowania ze strony władz.

Władze odpowiedziały na ten objaw odrodzenia uczuć religijnych nową energiczną kampanią przeciw cerkwi i wierzącym.

„Prawda" z dnia 7 czerwca i „Za komunisticzeskoje proświeszczenie" z dnia 8 czerwca poświęciły wstępne artykuły nowej kampanii antyreligijnej.

Jak wiadomo, mniej więcej miesiąc temu, cała prasa sowiecka przeprowadziła podobną kampanię. W jej wyniku w całym Z. S. R. R. odżyła działalność bezbożników. Na prowincji utworzono obwodowe i okręgowe komitety „Sojuzu" wojujących bezbożników, które rozpoczęły pracę nad tępieniem religii. Wielkanoc tegoroczna pokazała jednak, że wyniki działalności bezbożników były więcej niż marne. Spowodowało to nowy wybuch szału antyreligijnego w prasie sowieckiej.

Nawołując bezbożników do energicznej akcji, „Prawda" donosi o energicznej „kontrakcji" ze strony wierzących i o dalszym szerzeniu się religii w masach ludności.

Niektóre fakty, przytoczone przez „Prawdę", są istotnie interesujące. W jednym z kołchozów okr. jarosławskiego prezes kołchozu jest jednocześnie „starostą" cerkiewnym. W innym kołchozie prezes na zebraniach czyta kołchoznikom biblię według wskazań „batiuszki". W „sielsowiecie" okr. kalininowskiego miejscowy duchowny „zwołuje zebrania młodzieży, kieruje jej rozrywkami, zorganizował zespół śpiewaków". Miejscowy komisarz (partorg) nie sprzeciwia się temu, bo, według jego własnych słów, „pop jest bardziej oświecony, niż my, komuniści".

Dalej „Prawda" z przerażeniem i oburzeniem stwierdza, że „duchowni wspomagani przez rodziców rozszerzają swe wpływy na szkołę sowiecką. zmuszają dzieci chodzić do czerkwi i wykonywać wszystkie obrzędy religijne".

Tymczasem, jak świadczy „Komunist. Proswieszczenie". nauczyciele nie chcą brać udziału w akcji antyreligijnej. „Komsomolskaja Prawda" donosi, że komsomolcy również uchylają się od tej akcji, podczas gdy nastroje religijne szerzą się wśród młodzieży. W obszernym artykule dziennik opisuje, jak szerzy się propaganda religijna, mimo aresztowań i surowych kar, stosowanych do propagandystów. Między wierszami tego artykułu łatwo wyczytać wyznanie własnej bezsilności; stwierdzenie, że młodzież rozczarowała się do komunizmu i szuka zaspokojenia duchowego głodu w religii. Niektórzy komsomolcy oświadczają otwarcie wobec władz partyjnych, że nie wiedzą już, kto ma słuszność — partia komunistyczna czy Ewangelia. Po takich oświadczeniach zwykle następuje wystąpienie z komsomołu.

Zaniepokojenie bezbożników, jak widzimy, wcale nie jest bezpodstawne, ale projektowana kampania antyreligijna nie wiele tu wskóra. Wszak same dzienniki sowieckie wyznają, że mimo wielomilionowych wydatków na literaturę antyreligijną, w Sowietach nie ma ani jednej znośnej bezbożniczej broszury. Broszury są pisane albo przez ciemnych ignorantów, których „argumentację" pierwszy lepszy duchowny zbija bez trudu, albo co gorsza „przez szkodników". W Kijowie wypuszczono broszurę „antyreligijną", która przedstawiała prawosławne święta Wielkanocne jako dziką orgię; duchowni skorzystali z tej „szkodniczej broszurki" i sami rozdawali ją ludności, podrywając w masach wszelkie zaufanie do antyreligijnych publikacji rządu. Poza literaturą, poza propagandą, zostaje władzom tylko jeden środek: bezpośrednie represje w stosunku do wierzących. Lecz doświadczenie dowiodło, że najsurowsze represje, zamiast wytępić uczucia religijne, nadają im tylko nową moc i „wzbudzają fanatyzm religijny".

CZERWONA KATORGA.

Zza muru granicznego, którym odgrodził się Związek Radziecki od Europy, co raz dochodzą odgłosy salw karabinowych. To „ojczaszek" Stalin, radosne „słonko" Z. S. R. R. „likwiduje" dotychczasowych towarzyszy, dzisiejszych... „szpiegów, szkodników i trockistów".

Ale nie wszyscy mają szczęście i nie wszyscy trafiają... pod ścianę. Nieskończone legiony wyroków sądów ludowych skazują na—zsyłkę, lub, jeśli kto woli, na czerwoną katorgę, która mieści się na legendarnych już dzisiaj Sołówkach. Cokolwiekbyśmy dzisiaj o Sołówkach napisali, opierając się na najbardziej autorytatywnych, źródłowych rewelacjach tych nielicznych Polaków, którzy przebyli piekło Sołówek i dotrwali do... powrotu do ojczyzny, wszystko to będzie nazwane co najmniej „plugawym fałszem faszystowskim". Aby więc takich zarzutów uniknąć, a jednocześnie zapoznać czytelnika polskiego z prawdziwym obrazem Sołówek, zacytujemy poniżej kilka fragmentów z niedawno wydanej w Szanghaju książki Mikołaja Kisielowa-Gromowa p. t. „Obozy śmierci w Z. S. R. R.".

Autor tej książki jest nie tylko Rosjaninem najczystszej krwi, ale przez 10 lat był aktywnym funkcjonariuszem sławetnej Czeki, potem został „za opieszałość" przeniesiony na stanowisko pracownika Inspekcyjno-Informacyjno-Śledczego Wydziału Obozu Karnego na Sołówkach.

Ten to p. Kisielow, który, jak stwierdza w przedmowie, uciekł z tego wygodnego stanowiska tylko dlatego, żeby światu powiedzieć szczerą prawdę o Sołówkach, tak pisze w swej książce:

„W bezdrożnej karelskiej kniei, otoczone w lecie bajorami błota, w zimie pokryte zwałami śniegu stoją dwa—trzy baraki dla zesłańców, mały domek dla czekistów-dozorców i — nieodłączny dodatek — karcer („krikusznik"). Oto obraz jednej z wielu „komandirowok", czyli punktów katorżnych robót przy wyrębie lasu w SŁON'ie.

Baraki zbudowane są z cienkich, wilgotnych bierwion i na pół metra znajdują się w ziemi. Dach płaski, zrobiony z cienkich żerdzi i z gałęzi choiny. Podłoga z ziemi. W baraku są prycze na dwa piętra. W zimie śnieg z dachu przenika do wnętrza baraku i spada kroplami wody na śpiących.

W baraku znajduje się 400—500 ludzi... Brud, niemożliwy smród, wszy, pluskwy, zimno... Smród w barakach jest taki, że czekiści-dozorcy nigdy do baraku nie wchodzą... Umywalni, mydła, pościeli w SŁON'ie dla zesłańców nie ma. Myją się na mrozie, lejąc wodę z ust na ręce.

Jeżeli zesłaniec musi wyjść w nocy, winien przez dyżurnego prosić o pozwolenie stojącego koło drzwi na warcie czekistę-dozorcę. Następnie musi się rozebrać(sic!) do bielizny i dopiero wtedy (ażeby „nie uciekł") może wyjść na podbiegunowy mróz.

Tak mija noc.

Rano — kasza jaglana na wodzie i kubek wrzątku. Potem — oczekiwanie w szeregu na szefa „komandirowki".

— Baczność!

— Dzień dobry, szakale!

— Zdraaa...

Do zesłańców podchodzą „dziesiętnicy" (rekrutują się spośród kryminalistów) i każdy bierze swych zesłańców. Nad „dziesiętnikami" obejmują komendę czekiści-dozorcy i partia katorżników wyrusza na robotę do lasu — czasem odległego o 10 km.

Więźniowie nie dostają ani menażek, ani łyżek. Zwykły obrazek: zesłańcy odbierają „obiad" (pszenna kasza na wodzie bez żadnych olejów) do... podołu brudnego ubrania lub do czapki. Herbatę (woda gotowana) odbierają w znalezione na śmietnikach pudełka od konserw. Nie mając łyżek, jedzą rękami kaszę sołowiecką... Nie mają w sobie niemal nic ludzkiego — brudni, zawszeni, wycieńczeni, zastraszeni... Z tego powodu czekiści nazywają ich „szakalami".

Za moich czasów w kompanii było 250 Turkiestańczyków, lecz sądzę, że obecnie nikt z nich już nie żyje: Turkiestańczycy nie wytrzymują klimatu sołowieckiego, nie było dnia, ażeby nie umierało dwóch — trzech. Byli to przeważnie „basmaczy" (powstańcy) oraz „kułacy".

Wielu księży, szczególnie katolickich. Wielu Polaków, którym w SŁON'ie w ogóle powodzi się gorzej niż innym narodowościom. Najmniejsza bowiem komplikacja polityczna z Polską automatycznie pogarsza położenie Polaków-zesłańców.

Kompanie 13. i 14. (karne) mieszczą się w dawnych cerkwiach sołowieckich — przyczym dla większego „humoru" w ołtarzach świątyń ulokowano zesłańców-duchownych wraz z najgorszego gatunku specjalnie dobranym elementem przestępczym („szpany"), którego **zadaniem** jest na różne sposoby **stale zohydzać życie duchownym**".

Oto, zaledwie drobna garść fragmentów tej najbardziej ponurej książki, jaka ostatnimi czasy o Związku Radzieckim została napisana. Nie chcemy relacyj Kisielowa-Gromowa uzupełniać jakimikolwiek komentarzami. Zresztą... czy komentarze tu są potrzebne? Czy upiorna prawda nie przemawia dostatecznie przekonywująco?

Listy Cypriana Norwida do Bronisława Zaleskiego

Do druku podał Stanisław Pigoń

38. **1874.**

Kochany Bronisławie!

Jest zupełne niepodobieństwo wiedzieć, co mnie każesz z listu Twego pojąć. Straciłeś rok czasu i chcesz posłać rękopism „Boga-Rodzica" do albomu, do którego przesyłam ci załączoną tu w rękopiśmie prozę. Donosisz mi zarazem. iż bez mojej wiedzy głoszą mnie spółpracownikiem i że poróżniłeś się, iż Ciebie bez Twojej wiedzy ogłoszono indziej spółpracownikiem. Jużci na to — wyznaj — że niepodobna wiedzieć, co powiedzieć.

Jeśli „Czas" płaci 10 fr. za feuilleton. bo ma mało prenumeratorów, to niech ma ich więcej. Jeśli hrabia Tarnowski dopłaca na rok 4.000 guldenów (co jest zupełną egzageracją), to niech ma więcej prenumeratorów lub inaczej pieniędzy tych użyje.

*

W tych dniach przyszedł do mnie dawny emigrant, ojciec familii, którego wyrzucano z mieszkania za długi i chciał pomocy i szybko. Nie miałem czym prawie listu opłacić (bo i to się zdarza niekiedy, że korespondencji uczonej nawet nie można opłacić). Napisałem nieco i posłałem go do hr. Karola Zamoyskiego. Hrabia Karol Zamoyski powiedział mu, że dla hrabiego wystarczająca jest rękojmia, iż Cyprian Norwid pisał w tej rzeczy do niego, i założył pięćset franków.

Naturalnie, nie wyciągniesz z tego wniosku, iż toż samo dla siebie zrobić mogę, bo wniosek byłby nie w prostej linii wyciągniętym.

Donoszę Ci tylko ten pierwszy lepszy fakt bieżący, albowiem żyjemy w czasie, w którym ludzie wierzą we wszystkie wiary tajemnice, oprócz jej siły. **C. N.**

Czy niczego się nie można nauczyć, dowiedzieć i w niczym się oświecić korzystnie z rękopismu „Boga-Rodzica"?

Do księgi zbiorowej „Sobótka" przeznaczał Norwid, już bezpłatnie, ironiczną notatkę, w której wydrwiwał sposób niesienia pomocy „inwalidom literatury" przez wydawnictwo zbiorowe, mające powstać przez bezpłatne współpracownictwo tychże „inwalidów". Notatki tej Zaleski do księgi oczywiście nie wysłał; ogłosił ją dopiero Miriam w „Rozprawkach epistolarnych", Warszawa 1933.

39. **1874.**

Zacny Bronisławie!

Na Twój list za zawezwaniem do mającego się wybić medalu ku czci Jana Matejki odpowiadam: — We wszystkim, cokolwiek monumentalnie i publicznie pełni się, należy nieochybnie: albo przyjąć formy i warunki już przyjęte, albo własne swe stworzyć.

(Dalszy ciąg na str. IV).

mytników na granicy polsko-sowieckiej, zaczęła działać, opanowywać uwagę, po prostu porywać, i w ten sposób przeczytałem ją, jak to się mówi szablonowo, jednym tchem. Piasecki napisał swoją pierwszą powieść w więzieniu świętokrzyskim, gdzie odsiaduje karę piętnastoletniego więzienia za przemytnictwo i rabunki. Skończył siedm klas gimnazjalnych, potem wstąpił do wojska, był w podchorążówce w Warszawie, został oficerem, brał udział w walkach przeciwko bolszewikom i otrzymał pochwały za waleczność. Potem zaczął trudnić się przemytnictwem, popełnił kilka rabunków, wreszcie dostał się do więzienia świętokrzyskiego, i tutaj nabawił się gruźlicy. Tutaj również, w ciężkich warunkach, napisał swoją powieść, w której opowiada o przemytnikach. Debiut literacki zdradzający wybitny talent. Jest to właściwie pamiętnik, podany w formie powieściowej. Niewątpliwie trudno zgodzić się z etyką powieści: autorowi można zarzucić, że gloryfikuje przemytników, ich życie, które wypełnia wódka, kochanki i niebezpieczeństwo. Ktoś powie, że jest to książka niemoralna. Ale książka jest dziełem wielkiego talentu. Piasecki opowiada w formie bardzo prostej, nie ucieka się do realizmu, ani do miękkiego sentymentu, raczej rejestruje odosobnione wypadki, przechodząc jednak nad drażliwościami życia bohaterów swojej książki z wielkim umiarem. Opisuje kilka przepraw przez granicę, walkę ze zdrajcami. mówi o ludziach stojących ciągle pod grozą śmierci, opisuje życie wesołe i tragiczne, bezwzględne, nie znające litości i pełne głębokiego uczucia, nacechowane jakąś niezwykłością i osobliwą sugestią prawdy. Nie ma tu mdłej literatury, która z małych figur tworzy bohaterów. jest natomiast niewątpliwą rzeczywistością. Stosunek Piaseckiego do opisywanych zdarzeń i ludzi nie płynie ani z chęci wybielania ani też z jakichś moralnych pobudek, co było złe, odkrywa się z całą szczerością, niemal pierwotnością; nie roztkliwia się również nad tym, co było wzniosłe, zarówno zło, jak i dobro jest składnikiem szarej codzienności. Ten obiektywizm, płynący raczej z zewnętrznej prostoty pisarza, jest największą zaletą jego książki. Ten nieosobisty stosunek do zdarzeń i jakaś zaduma nad osobliwością życia ludzkiego, która słabym, ale od razu dostrzegalnym refleksem przesącza się przez cały ciąg opowiadania. Pogarda dla życia, lekceważenie wartości ciężko zdobytego grosza, walka z zawiścią, i chęć osiągnięcia sprawiedliwości, te uczucia mieszają się w powieści Piaseckiego w jakiś osobliwy obraz, pełen prawdy i niecodziennej szczerości.

——oOo——

W notatce reklamowej powieści **Stefana Balickiego** pt. **„Ludzie na zakręcie"**, wydawnictwo St. Dippla w Poznaniu zaznaczyło, że jest to „świetnie napisana a zarazem pasjonująca książka". Otóż jest to powieść bardzo nieudolna, zaś pasjonować może chyba tylko samego wydawcę, który pragnie, aby powieść jak najlepiej się rozeszła. Autor przedstawia dzieje borykającego się z życiem ojca, spychanego przez los na dno poniżenia. Temat wprawdzie nie nowy, lecz nie ma tematu, z którego nie dała by się zrobić interesująca powieść. Balicki pragnąc osiągnąć jakąś oryginalność wpadł w patos i sztuczną frazeologią, która zalewa każdy motyw w książce; wprowadza w tok wypadków ludzi papierowych, żyjących jedynie w fantazji autora, nie mających zaś z rzeczywistością żadnego związku; sili się na uzasadnienia psychologiczne i co krok potyka się o własne gadulstwo, które ma pokryć pustkę i ubogość fantazji. Oto kilka przykładów. Kelner Białowąs zobaczył w kawiarni, w której pracuje, swego syna dyrektora banku i „Chwili tej nie przeżył". Tak jak się nie przeżywa ogłuszającego uderzenia". Pusty frazes, nie zgadzający się zresztą z tokiem opowiadania, bo Białowąs nie tylko tę chwilę przeżył, ale w dalszym ciągu cieszył się najlepszym zdrowiem. Gdzie indziej znowu toczy się następujący dialog: „Czy są chwile, kiedy pan traci apetyt? — Owszem, gdy słucham niestrawnych rozmów. — O ile się nie mylę, to się nazywa cynizm. — Owszem, z greckiego". W ten sposób napisana jest cała powieść, która służyć może za doskonałą próbę cierpliwości czytelnika. Istotnie trudno ją przeczytać do końca.

——oOo——

Temat morski zjawia się od czasu do czasu w naszej literaturze, najczęściej w postaci sensacyjnej powieści. Do ich szeregu należy również książka Antoniego **Kawczyńskiego** pt. **„Dannemora"** (wyd. St. Dippla w Poznaniu), powieść trochę lepsza od dzieł Marczyńskiego. Na jej dodatnie konto zapisać można zgrabny obraz życia sportowego. Fabule niejedno zarzucić można. Są to dzieje kapitana okrętu szwedzkiego Dannemora, oraz niefortunnego człowieka Słomiana, którego gdyńscy aferzyści chcą wplątać w swoje brudne sprawy. Dobra powieść wypoczynkowa.

Listy Cypriana Norwida do Bronisława Zaleskiego

Dalszy ciąg ze str. III).

Co do przyjętych — wiadomo, iż forma medalowej nagrody jest dla mającego już znaki honorowe osobiste (Légion d'honneur etc., etc. francuskie, austriackie etc.), jest — mówię i znasz i znacie — formą podrzędną. Jest to: zdegradować oficera. Zaś ponieważ medal bez daty być nie może. przeto położona data na takowym będzie datą, w której nagradza Polska sztukmistrza onegoż, a z dat na medalach tegoż cudzoziemskich ostatnią i najpóźniejszą. Archeologom wiadome jest, iż w monumentalnej sztuce i sferze nigdy nikt nie zdołał jeszcze skłamać. Położona data na jednym z medalów Jana Matejki będzie oznaczeniem, kiedy własna upoważnia go publiczność, i przeto medalem więcej ogół niźli cel wybitniającym.

Co do własnej twórczości w nagradzaniu zasług (za życia) trzeba znaleźć quelques précédents i do takowych się odnieść. Ja niedość znam szczegółów. Mickiewiczowi ofiarowano puchar, ale i to po. owacjach, które miał w Moskwie i w Paryżu. Z mojej inicjatywy nagrodzono malarza francuskiego, który malował „Massacre de Varsovie!" i byłbym najszczęśliwszym, gdybym podobnież co projektować umiał dla Jana Matejki.

Co do własnej mojej twórczości w tych treściach bynajmniej nie dziwię się, iż twórczy umysł Węgrów lubo arcyoryginalnie postąpił był z Lisztem. Węgrzy ofiarowali mu, more antiquo, s z a b l ę.

Zapewne, to uderzyło było niejeden umysł estetyczny w Europie, alеż Węgrzy nie pytali wcale o to, czyli muzykowi szablę ofiaruje się, albo nie? Jakoż właśnie że dla tej przyczyny w nagrodzeniu takowym i naród i mąż w prawdzie uczucia względem siebie stanęli i to pozostało rzeczą piękną.

Zbytnią albowiem, mniemam, byłoby rzeczą tę poniekąd prostej obyczajności dołączać maksymę, że żaden dar bez dania czegoś z siebie nie jest przyjmowalnym.

Cyprian Norwid.

W marcu 1874 r. powstała w Krakowie myśl wybicia medalu na cześć Matejki; utworzył się w tym celu komitet, zbierano składki (zob. M. Gorzkowski, „Jan Matejko", 1898, str. 80), Zaleski widocznie zwracał się do Norwida o wykonanie medalu; spotkał się z odmową. — Na wystawie paryskiej 1866 r. malarz franc. R. T. Fleury wystawił obraz „Varsovie le 8 avril 1861", przedstawiający masakrę ludności podczas manifestacji patriotycznej.

40. **1874.**

Łaskawy Bronisławie!

Nie odpisałem był na list z pieniędzmi należnymi, z powodu że pokwitowanie naprzód posłałem był i rachunek uskuteczniłem.

Myślę, że przejażdżkę dopełniasz i że Ci posłuży dla zdrowia, które tu się szarza i zadusza.

Ofiaruję Ci moją odpowiedź wzywającym mnie często i z różnej strony o krytykę estetyczną.

Vale. **N.**

A propos: Zapewne czytałeś, począwszy od „Revue des deux mondes" przez wszystkie dzienniki artystyczne etc. etc. jedno i toż samo zrefutowanie Jana Matejki, któremu aby spóźniony polski medal wybić, byłeś łaskaw wzywać mnie.

Nagradzać tylko ci umieją i mają prawo, którzy oddają sprawiedliwość. A to trudna jest nauka i ani z powtarzania za drugimi, ani z nerwowych frazesów czerpie się, — jak wiesz i pojmujesz.

Sługa **N.**

Jaka piękna myśl Goszczyńskiego: funduszu Goszczyńskiego! I jak pięknie postąpiła treść konkursu dramatycznego w definicjach swoich: „pracując — postępują".

Do listu tego dołączył Norwid wiersz ironiczny o recenzentach sztuki, p. t. „Spółcześni" (wydał Miriam, „Reszta wierszy..." str. 131). — W artykule „Le Salon de 1874" („Revue des deux mondes" 1874, III. 665) recenzent artystyczny E. Duvergier de Hauranne, pisząc o obrazie Matejki „Batory pod Pskowem", zarzucił Matejce „un réalisme brutal", „une certaine barbarie systematique", niemniej przyznawał, że obraz jest „d' un vif interêt et d' une sérieuse valeur". Krytyczny zawsze wobec Matejki Norwid podnosi tylko zarzuty. — Wspomniany pod koniec konkurs dramatyczny ogłoszony był przez dyrekcję teatru krakowskiego.

41. **(1874—1875).**

Uczyń jak uznasz. Ja sam dlatego tylko nie posyłam do pism polskich, że mnie obrzydzili wszelki udział, — ale zawsze tam coś bywa mojego przez innych.

W medalu ucho z tyłu i małe, oko żadne, a napis nieścisły: „Starą chwałę uwdzięczył i ozdobił". To Kolumb, Kopernik, Jenner etc., etc. nowego coś przynieśli. O n i b y się tam na niczym nowym nie poznali, bo nowe nawet i w społecznościach żywych z trudnością powołuje do uznania.

„Starą chwałę Ojczyzny ozdobił własną". — Tak obojętnie wspomniałeś o rysunku, iż na dalszym planie to położyłem.

Z braterstwem **C. N.**

Nie a nic nowego w dziełach Matejki.

Wspomniany medal wykonano (zapewne w Paryżu) i wręczono Matejce w październiku 1875 r. Z jednej strony profil artysty, z drugiej napis: „Nową chwałą Ojczyznę przyozdobił". — Jenner E. (1749—1823), lekarz wynalazca krowianki i metody szczepień.

Nowy grobowiec egipski

W Egipcie, na przeciw Teb, po lewej stronie Nilu, dokonano nowego odkrycia, które wzbogaci zbiory muzeów, gromadzących zabytki egiptologiczne. Zdaniem odkrywcy, kierownika wyprawy amerykańskiej, prof. Winlocka chodzi w tym wypadku o wykopaliska z czasów 18 dynastii, a więc z około 1500 roku przed Chrystusem. Jest to grób Sen-Muta, słynnego zarządcy króla Amona, który, również jako budowniczy wystawił wspaniałą świątynię Deir-el-Bahri. Grobowiec, zgodnie ze zwyczajem ówczesnych bogaczy, wznosi się na stokach wyniosłej góry. Choć zaś jest obecnie częściowo zniszczony, mimo to można rozpoznać jego urządzenie. Ekspedycja amerykańska zadała sobie nie mało trudu, by odkopać fundamenty z szutru i skruszałych kamieni, które w ciągu wieków zasypały z góry nawierzchnię grobowca.

Przez niską bramkę wchodzi się na mały dziedziniec podtrzymywany słupami. Widok stąd rozpościera się aż do Karnaku, do tych potężnych obelisków, które Sen-Mut wystawił na cześć swej władczyni Hacze-Psut.Z dziedzińca prowadzi korytarz do przedsionka, a dalej do obszernej nyży, w której znajduje się duża trumna ze zwłokami Sen-Muta, doskonale zabalsamowany osiodłany koń i mumia małpki, prawdopodobnie ulubienicy właściciela. W grobowcu tym znajdują się też mumie Ramosa i Hatnufery, ojca i matki Sen-Muta, oraz szkielet, którego tylko twarz zachowała się w dobrym stanie. Szkielet ten, zdaniem profesora Winlocka, należał do starego służącego. Całe wnętrze nie odznacza się tym przepychem, który zwykle widzi się w grobowcach królewskich. Przestrzeń między trumnami wypełniona jest prawie całkowicie różnymi koszykami, naczyniami i dzbankami z alabastru, które zupełnie nie uległy zniszczeniu.

Trumny rodziców Sen-Muta były przykryte białymi prześcieradłami. Twarz Ramosa pokryta jest cienką warstwą pozłótki. Sama trumna jest bardzo prosta. Natomiast o wiele ciekawszą jest mumia matki Sen-Muta, Hatnufery. Ręce są skrzyżowane na piersiach, twarz i napisy pozłocone, a wieko było w sposób kunsztowny domknięte do trumny, wyłożonej szczodrze zwojami płótna. Na pozłoconą maskę twarzy była nałożona cienka chustka z wypisanym na niej tekstem modlitwy za umarłych. Na szyi mumii znaleziono złoty łańcuch, z którego zwisał wielki skarabeusz, bardzo udatnie wykonany z zielonego, drogocennego kamienia i oprawiony w złoto. Na prawym ramieniu leżało srebrne lustro z rzeźbionym trzonem. Ciało było zwinięte w 14 chust i 80 zwojów które usunięto dopiero po pracy trwającej cztery dni. Gęsta, czarna peruka była ściśle przymocowana do włosów małej i grubej Hatnufery. Wszystkie palce obu rąk były ozdobione pierścieniami, ramiona zaś złotymi i srebrnymi obrączkami. Hatnufera zabrała z sobą do grobu cały majątek. Przy jej mumii znaleziono koszyk napełniony chlebem, daktylami i winogronami oraz kilka skrzynek i misternie plecionych koszyków, z których wydobyto 76 wąskich prześcieradeł o długości od 4 do 16 metrów. Wszystkie były tkane w jednym kawałku i pieczołowicie złożone. Ponadto znajdowały się w grobowcu miski z fajansu, małe naczynia kamienne na oleje i szminkę, dzbany i czarki, lusterka a nawet brzytwa(!) z mosiądzu.

Profesor Winlock ustalił z napisów na niektórych przedmiotach, że złożenie mumii do grobowca odbyło się między 15 stycznia a 15 lutego w 1494 r. przed Chrystusem. Co się zaś tyczy przepychu przy mumii matki a ubóstwa przy zwłokach Sen-Muta, to prof. Winlock wyjaśnia, że Sen-Mut pochodził z ubogiej warstwy społeczeństwa i sam własną pracą zdobył stanowisko wysokie i zaszczyty na dworze królowej Hacze-Psut, jednak później musiał wraz z królową uchodzić na wygnanie przed zemstą Tutmozisa III.

Tym nowym odkryciem zainteresowali się bardzo żywo egiptolodzy, gdyż jest to jeden z nielicznych grobowców, nie splądrowanych przez świętokradców egipskich.

R. Ż.

Rozmaitości

Łasiczka na kocim mleku

Jedno z niemieckich czasopism przyrodniczych donosi o niezwykłym wypadku solidarności wśród zwierząt. Pewien gajowy znalazł w lesie opuszczoną łasiczkę, którą zabrał do domu i podłożył kotce karmiącej swe małe. — Kotka zajęła się troskliwie opuszczoną łasiczką i czuwa nad nią na każdym kroku. Gdy niesforne leśne zwierzątko oddali się za bardzo od kociąt, kocica bierze je w pysk i przynosi do małych, które bawią się z łasiczką jak z równą sobie.

Kto założył Nowy Jork?

Historyk amerykański, John Juliey, wygłosił w tych dniach referat, który wywołał w naukowych kołach amerykańskich dużą sensację ze względu na rewelacyjną treść. Według wywodów tego historyka, założycielami Nowego Jorku byli Francuzi, którzy w 1524 roku wylądowali na wyspie Manhattan; wznieśli tu kilka szałasów, któ-

M. BABIŃSKI

W Tatrach bez zegarka

Od wielu lat włóczę się po górach, lecz, gdyby mię ktoś zapytał, czy musi się mieć z sobą na wycieczce, czy wyprawie taternickiej zegarek, nie umiałbym dać należytej odpowiedzi. I tak, i nie. Kiedym zawierał pierwszą znajomość z górami, zegarek służył właściwie do kontrolowania przebytej drogi i do ustalania... młodzieńczych rekordów. Z czasem jednak, po nabytym stopniowo doświadczeniu, przestałem gonić za rekordami — czasowymi. Wolałem stosować „krok alpejski" wyznając łacińską zasadę „festina lente" i spieszyłem się powoli. Zmierzch zawsze wskazywał, że należy już wracać do schroniska czy koleby. Zegarek więc był niepotrzebny. Po ostatnich wreszcie w ubiegłym miesiącu odbytych dwóch wycieczkach doszedłem do przekonania, że nie potrafię odpowiedzić, czy zegarek jest potrzebny w górach, czy też zbędny.

Wybierając się na pierwszą wyprawę zapomnieliśmy obaj z kolegą (p. Pawłoskim, który wyjeżdża wkrótce z ekspedycją polską w Himalaje) o żegarku. O tym przedmiocie przypomnieliśmy sobie dopiero po przyjeździe do Zakopanego, lecz już było za późno na odrobienie tego zapomnienia. Nie przejmowaliśmy się też nim zbytnio, atoli mając wolny tylko jeden dzień na wycieczkę, a w programie dużo do załatwienia, postanowiliśmy (by zdążyć nazajutrz na pociąg) ruszyć odrazu w nocy w góry. Na Halę Gąsienicową doszliśmy powoli i choć w „murowanicy" błyszczało jeszcze światełko w jadalni, poszliśmy dalej. Dopiero w połowie drogi do Czarnego Stawu zrobiliśmy przystanek i zajęliśmy się gotowaniem herbaty. Spieszyliśmy się jednak, gdyż... nie mieliśmy zegarka. Ta sama scena powtórzyła się nad Czarnym Stawem, z tą tylko zmianą, że tym razem kolega przynaglał mnie do pośpiechu, a nie ja jego. Zresztą popędzał nas też świt i Jutrzenka szybko wędrująca znad Wołoszyna na Granaty i Kozie Wierchy. Radosne trele pierwszego zbudzonego ptaszka w lesie koło schroniska na Hali Gąsienicowej oraz tuż po tym nagły gwar ptactwa mimo woli zwróciły nam uwagę, że pora iść dalej. Do drogi zachęcało też słońce, złocące pierwszymi swymi promieniami szczyt Kościelca. Na Karb, na następnie granią na Kościelec wydostaliśmy się, gdy słońce było już ponad Granatami i dobrze grzało. W dole umilkły głosy ptaków i cisza panowała wokół szczytów. Słońce wzbiło się wyżej oświetlając coraz to nowe żleby i szerokie połacie śniegu. Doprawdy, nawet teraz nie wiem, która była wtedy godzina. Dostawszy się na szczyt, orzekliśmy z kolegą, że jest już ósma. Dalej więc — w drogę, gdyż granią na Świnicę jest jeszcze duży kawał.

Po jakimś czasie — na Mylnej Przełęczy — znowu zastanawialiśmy się, która to może być godzina. Na próżno też głowiliśmy się nad tym zagadnieniem na Zawratowej Turni. Pod Zawrat nikt nie podchodził ani od Czarnego Stawu, ani z Doliny Pięciu Stawów, na Kasprowym nie było ani jednej osoby i dym nie wznosił się z chat góralskich na Hali Gąsienicowej. Która to była godzina?

Na Niebieskiej Turni w ogóle zapomnieliśmy w trakcie miłej wspinaczki o czasie. Dopiero po zrodze z Niebieskiej na Gąsienicową wydało się nam, że jest już koło południa, gdyż słońce prażyło w plecy a skała w dotyku była gorąca. Nie tracąc czasu podciągnęliśmy się na Gąsienicową Turnię, następnie na przełęczkę pod Świnicą. I stąd dostrzegliśmy pierwszego w ten dzień człowieka. Ścieżką ze Świnicy schodził znajomy góral z bańkami mleka. Na nasz okrzyk zatrzymał się i zaczekał aż doszliśmy do ścieżki. Naturalnie pierwszymi naszymi słowami skierowanymi do górala było pytanie, która godzina. Okazało się, że dziewiąta. Można więc było wreszcie pozwolić sobie na dłuższy wypoczynek. Na przeszkodzie stanęły chmury nadciągające od południa i dalekie grzmoty. Zbiegliśmy granią ze Świnicy na przełęcz, zjechaliśmy wygodnie po śniegu do kotła i wkrótce już byliśmy pod Karbem, gdzie między maliniakami leżały schowane nasze plecaki. Nad Czarnym Stawem było rojno. Pojedyńczy turyści, grupowe wycieczki, górale z mlekiem i fotografowie ciągnęli sznurkiem na Zawrat. Teraz nie pytaliśmy już o godzinę. Wolnym krokiem doszliśmy na jedenastą godzinę do schroniska t. zw. „murowanicy", gdzie ku miłemu zdziwieniu skonstatowaliśmy wielkie zmiany. Wraz z nowym zarządem do schroniska wtargnęły trzy ważne rzeczy dla turystów: porządek, czystość i uprzejmość. Zmianę tę powitali już radośnie turyści, którzy coraz tłumniej zachodzą do schroniska P. T. T., tak niesympatycznego za poprzednich gospodarzy. — Przy herbacie, rozważając z kolegą przeżycia na tej nocnej wyprawie, postanowiliśmy zawsze odtąd zabierać z sobą w góry zegarek.

Niestety, postanowienie to zmieniłem w ubiegłą niedzielę na drugiej wycieczce w Tatry, dokąd wyruszyłem z drugim kolegą p. Staszelem, również „himalajczykiem". Zobligowałem go, by koniecznie zabrał z sobą zegarek, gdyż spóźnienie się na pociąg popularny, którym jechaliśmy do Zakopanego pociągnęłoby za sobą stratę kilku złotych i kilka godzin czasu. Czas wycieczki obliczyliśmy dokładnie... z zegarkiem w ręku. Ale spoglądając od czasu do czasu na chronometr, mimo woli przyspieszaliśmy kroku. Po osiągnięciu zaś morderczego tempa pomyśleliśmy o rekordach, a więc spiesząc się na zachodnią ścianę Kościelca wyśrubowaliśmy czas z Hali ze schroniska P. T. T. na przełęcz Karb na 32 minuty, z powrotem zaś z Karbu nad Czarny Staw 5 minut, a z Hali Gąsienicowej do Kuźnic 19 minut. Była to więc po prostu gonitwa, którą najdotkliwiej odczuły buty i trampki.

Zrozumiałą jest rzeczą, że w ten sposób „zdążyliśmy" o kilka godzin wcześniej na pociąg, lecz siedząc już wygodnie w wagonie i rozpamiętywując wspinaczkę i dziką gonitwę powiedziałem sobie, że już więcej nie zabiorę z sobą zegarka w góry.

—000—

re służyły im za schronienie podczas krótkiego postoju na wodach Zatoki Hudsońskiej.

Wywody swe opiera profesor na znalezionym dzienniku pokładowym jednego ze statków francuskich, który w kilka lat po odryciu Ameryki przez Kolumba kilkakrotnie zawijał do wybrzeży amerykańskich. Szałasy zbudowane przez marynarzy francuskich zastąpione zostały w 1605 roku przez domki drewniane, zbudowane przez pierwszych kolonistów holenderskich, którzy też otrzymali akt nadania ziemi i dali prawny początek przyszłej metropolii nowojorskiej, która w pierwszym okresie nazywała się Nev Amsterdam.

W ciągu jednej godziny...

Jedna godzina w życiu jednego człowieka częstokroć przynosi tyle wydarzeń, czy zmian, ile minut liczy; cóż dopiero mówić, gdy weźmiemy pod uwagę jedną godzinę w perspektywie całego świata.

Według ostatnich danych statystycznych w ciągu jednej godziny na świecie rodzi się 5.440 dzieci, a umiera 4.630 osób; 1.200 par wstępuje w związki małżeńskie, a 85 par rozwodzi się. Jedna godzina pociąga za sobą śmierć 15 osób, ginących od noża lub kuli i to tylko w państwach „cywilizowanych". Przestępczości z „dzikich" krajów nie mamy, z powodu braku odpowiedniej statystyki o takich wypadkach.

W ciągu jednej godziny przerabia się na tkaniny 10.00 cetnarów bawełny i 3.000 cetnarów wełny, produkuje się 99.600 ton cukru, z których w ciągu godziny zjadamy 98.000 ton. Przerabia się 176.000 ton tytoniu na papierosy i cygara, a w 1 godzinę ludzkość wypala tytoniu i wyrobów tytoniowych za 1 i pół miliona dolarów. Wypija się 1 i pół miliona litrów wina, około półtora miliona litrów piwa, przynajmniej 50 milionów filiżanek kawy. Zjada się 3.6 milionów ton mięsa, 30 milionów bochenków chleba i 2.4 milionów sztuk jaj.

W ciągu godziny wydobywa się z wnętrza ziemi 122.000 ton węgla kamiennego. Na powierzchni ziemi zabija się 35.000 zwierząt. Wydobywa się 156.420 beczek nafty, z których ponad 1/3 zostaje przetworzona na benzynę do samochodów. W ciągu 60 minut zakłady automobilowe wypuszczają 700 nowych samochodów.

W ciągu jednej godziny nadaje się 114.000 telegramów; na sprawy handlowe przypada zaledwie połowa, 55.000 depesz jest natury czysto prywatnej. W tymże czasie poczta przesyła 1.141.6 mil. listów i kart, których porto wynosi 25 milionów dolarów.

Muzeum fordowskie

W pobliżu zakładów Forda w Dearborn w stanie Michigan istnieje muzeum postępu i techniki, zbudowane za pieniądze wielkiego przemysłowca. Muzeum zajmuje przestrzeń 32.500 metrów kwadratowych Fronton gmachu jest kopią trzech amerykańskich budowli historycznych, pałacu niepodległości, ratusza w Filadelfii i gmachu Kongresu. Trzy zupełnie odrębne style potrafiono tak sharmonizować, że tworzą one wspaniałą, monumentalną całość.

W muzeum fordowskim można śledzić, dzięki umiejętnie dobranym eksponatom, wykresom, ilustracjom, — rozwój rolnictwa, przemysłu i transportów od czasów przedhistorycznych do chwili ostatniej. Osobny dział przeznaczono dla instrumentów i narzędzi rolniczych, od prymitywnej sochy do nowoczesnego traktora. W innym dziale muzeum podziwiać można kolekcję lokomotyw i pociągów od najpierwotniejszego ich typu do ostatnich modeli.

Ilość samolotów zgromadzonych przez muzeum Forda wystarczyłaby do stworzenia floty powietrznej małego państewka. W muzeum imienia Henryka Forda nie mogło zabraknąć samochodów. Podziwiać tam można w osobnym pawilonie pierwsze wozy daimlerowskie, mało różniące się konstrukcją od zwykłych kabrioletów, oraz ostatni model luksusowego Forda, noszącego seryjny numer 25 milionów.

W parku otaczającym muzeum podziwiać można szereg gmachów historycznych, zakupionych przez Forda w różnych częściach kraju, a przeniesionych do Dearborn lub skopiowanych z idealną wiernością. Znajduje się tam sala trybunału stanu Illinois, w którym późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Abraham Lincoln, wygłosił swą pierwszą mowę adwokacką.

Osobny pawilon poświęcony jest wynalazkom Edisona, dla którego Ford żywi prawdziwy kult. Przed 41 laty, gdy Ford był jeszcze biednym początkującym przemysłowcem, Edison zachęcał go do wytrwania na tej drodze. W pawilonie Edisona oglądać można zrekonstruowane ze wszystkimi szczegółami pierwsze laboratorium wielkiego wynalazcy, zainstalowane w Menlo Park (New Jersey). Naprzeciwko laboratorium znajduje się odbudowany ze wszystkimi szczegółami pensjonat, w którym młody Edison mieszkał. Ford posunął swój kult dla Edisona do tego stopnia, że dużym nakładem pracy i pieniędzy zdołał odtworzyć wszystkie etapy twórczej pracy wynalazcy. W poszczególnych salach pawilonu zgromadził nie tylko przedmioty, z którymi stykał się Edison, ale nawet ziemię i rośliny z Menlo Park oraz z Fort Myers na Florydzie, gdzie znajdowało się ostatnie laboratorium Edisona.

Za parkiem muzealnym ciągnie się rozległy teren, przeznaczony na ogródki działkowe dla robotników i pracowników, zatrudnionych w zakładach „króla samochodów" amerykańskich.

Kłopot Anglików z żabami

Mieszkańcy miasteczka Stone w hrabstwie Kent zostali przed niedawnym czasem nawiedzeni plagą moskitów. Moskity dokuczały im w dzień, w nocy, zarówno w czasie pogody jak i w dniach deszczowych. Długo radzono w gminie nad tym nieszczęściem. Wreszcie jeden z mieszkańców wskazał ratunek: żaby. Jest bowiem dowiedzioną rzeczą, że żaby rozkoszują się muchami i moskitami. Gmina zastosowała się chętnie do rady doświadczonego obywatela. Zakupiono w okolicy, więc w Anglii, pokaźną ilość żab, rozpuszczono je w Stone i czekano na wynik żarłoczności żab.

Żaby wzięły się ostro do pracy. Apetyt ich był codziennie zaspokojony, lecz moskitów tak jak gdyby nie ubywało. Wtedy na zebraniu gminy znowu z podobną jak poprzednio propozycją, wystąpił niejaki Smith, który w podróży po świecie zebrał nie mało doświadczenia. Przekonał się on, że najbardziej żarłoczne są żaby węgierskie i mnożą się szybko. Smith zapewnił zebranych na radzie, że węgierskie żarłoki mają czterykroć lepszy apetyt, niż ich angielskie siostry.

Sprowadzono więc żaby z Węgier. Wyładowano tego towaru kilkanaście skrzyń i wypuszczono wygłodniałe żaby na moczary, gdzie było siedlisko moskitów. „Goście" wzięli się energicznie do dzieła; po kilku dniach Stone zostało uwolnione od plagi moskitów. Żaby jednak mnożyły się w zdumiewający sposób. Wieczorem zaś i w nocy nad rzeką i moczarami rozlegał się rechot, który nie dawał spać mieszkańcom. Koncerty te z każdym dniem przybierały na sile, mieszkańcy zaś z dnia na dzień stawali się coraz bardziej nerwowi i wyczerpani bezsennymi nocami. Wreszcie postanowili skończyć z tą nową plagą. Uzbrojeni w widły, kije, laski i pręty ruszyli nad mokradła. Polowanie jednak nie przyniosło oczekiwanego rezultatu,a wieczór ten nie wiele różnił się od poprzednich. Rechot żab rozlegał się w dalszym ciągu piekielny.

Wieść o tej pladze dotarła do prasy. Posypały się artykuły i sprawozdania z terenu zagrożonego żabami. Równocześnie burmistrz otrzymywał codziennie po kilkadziesiąt rad listownych z całej Anglii. Wszystkie były życzliwe, lecz przeważna część ich traktowała tę sprawę humorystycznie. Radzono zmienić bieg rzeki, osuszyć olbrzymią przestrzeń moczarów, wreszcie do rzeki wylać kilkadziesiąt beczek parafiny, której podobno żaby nie znoszą. Żabami zainteresowało się też radio. Przeprowadzono audycję ze Stone, na całą Anglię w chwili, gdy rechot żab węgierskich był najdonioślejszy. Audycja wypadła wspaniale.

Żaby jednak dokuczają w dalszym ciągu mieszkańcom miasteczka Stone. Zrozpaczeni „ojcowie miasta" zdecydowali się na krok ostateczny. Uprosili posłów ze swego okręgu, by plagą zajęła się na najbliższym posiedzeniu Izba Gmin. Cała więc Anglia oczekuje, co wyniknie z tej debaty. Mieszkańcy miasteczka Stone życzą sobie, by sesję otwarto jak najprędzej, żaby zaś dalej rechocą radośnie, nie przeczuwając, że czeka je bardzo smutny koniec. Chyba, żeby i Izba Gmin okazała się bezsilną wobec żab...

L. D.

Mahometanki bez zasłon na twarzach

Nieustająca rada mahometańskiej gminy albańskiej zebrana w pierwszych dniach marca pod przewodnictwem p. Beyhet Shapati przyjęła do wiadomości sprawozdanie przewodniczącego tyczące się przepisów mahometańskiego prawa kanonicznego co do zasłon na twarzach kobiet i stwierdziła, że tak Koran jak i tradycja prawa mhometańskiego uważa tę zasłonę jedynie za prosty zwyczaj ludzkiego pochodzenia. Wersety 32 i 33 dwudziestej czwartej sury nie zawierają w sobie żadnego nakazu, a że prawodawstwo mahometańskie zastosowało rygorystyczne ograniczenia, to tylko dla uniknięcia nadużyć w szczególnych warunkach. Obecnie zastrzeżeń tego rodzaju nie ma, warunki społeczne nie te same. Albania jest przecież krajem europejskim i musi przyjąć zwyczaje krajów sąsiednich, zwłaszcza, że zwyczaj zasłaniania twarzy dotąd jeszcze nie dotarł do mieszkańców gór.

Dla tych to powodów powzięła rada w dniu 3 marca uchwałę zakazującą kobietom noszenia zasłon na twarzach i zwróciła się do rządu o powzięcie odpowiednich środków by ta uchwała, podpisana przez czterech wielkich muftich albańskich, weszła w życie. Rząd przedstawił parlamentowi projekt ustawy, po jej uchwaleniu i ratyfikowaniu przez króla stała się obowiązującą już od 15 marca. Za przekroczenie zakazu grozi grzywna od 20 do 1000 złotych franków.

Listy na płytach gramofonowych

Dyrekcja poczt w Holandii zastosowała w stolicy wynalazek, który może się bardzo szybko rozpowszechnić nie tylko w całym kraju, lecz i za granicą. Oto listy mogą być „drukowane" na płytach gramofonowych. Odbywa się to w ten sposób, że mieszkaniec Amsterdamu udaje się do biura pocztowego, tam wrzuca do specjalnego aparatu monetę i odczytuje do tuby treść listu, który chce wysłać. Po kilku minutach z aparatu wysuwa się „nagrana" płyta. Płytę pakuje urzędnik do specjalnej koperty i wysyła pod oznaczonym adresem. Odbiorca nastawia tylko gramofon i już płyną z niego słowa wygłoszone przed chwilą przez nadawcę. Treść tego nowoczesnego „listu" może zawierać najwyżej 150 słów. Przesyłka jest tania stosunkowo, gdyż na drugiej stronie płyt znajdują się ogłoszenia płatne firm. Jak dotychczas stwierdzono, „listy" te wysyłają Holendrzy przeważnie do kolonij.

Wolno jednak wątpić, czy każdy wysyłający list zechciałby utrwalać go na płycie

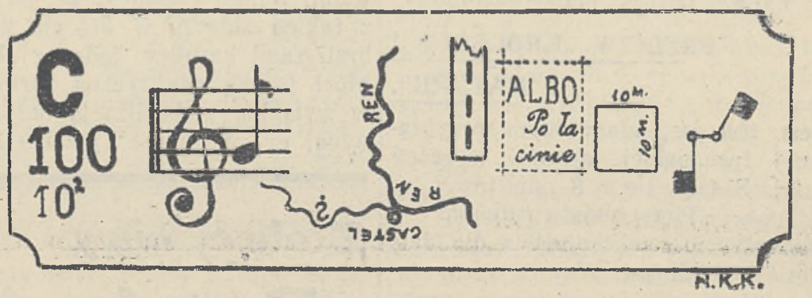
Rozrywki umysłowe Nr 28/67

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

IV Konkurs (d. c.)

ZAD. 5. — REBUS.

uł. N. K. Kozłowski — Kl. Szar.



Z powyższego rebusu odczytać napis, umieszczony na jednym z pomników w Krakowie (lingua latina).

ZAD. 6. — PRZEKŁADANKA „LNIANA".

uł. „Anerg" — czł. Kl. Szar.

1. Len + gad + ama = wśród Świętych znajdziesz,
2. Len + ikra + poeci = jest w kościele, lecz i w domach pobożnych ludzi się znajduje,
3. Len + Cyd + koni = miła gromada, gdy z gwiazdą chodzi,
4. Len + ów, + rak = wśród królów rada męża znaleźć,
5. Len + Bata + ci = tancerka nie byłejaka,
6. Len + kosi + kocz = w ekwilibrystyce mocny,
7. Len + awiza = tłuszcz z ropy naftowej wydobywany,
8. Len + Ada + ikra = figle błazeńskie,
9. Len + raf. = wino starożytnych Rzymian,
10. Len + psy + Zoli = jego tajemnica, tajemnica wszystkim znana,
11. Len + rak + zad = rocznik, księga na rok cały,
12. Len + bat + kuso = zamówienie.

ZAD. 7. — SZARADA — BAŚŃ

uł. „Kasta" — czł. Kl. Szar.

Miło na plantach latem **siedem** mroku
w **trzy-czwartym-czwartym** powietrza
przebiegać myślą czas-rok po roku,
koloryt których już zwietrzał.

Błyska w ciemności **sześć wspak-dziewiąta**
spod młota Dziejów kowala,
marzenie buja... i sens się splątał.
gdy wizja Przeszłość wyzwala.

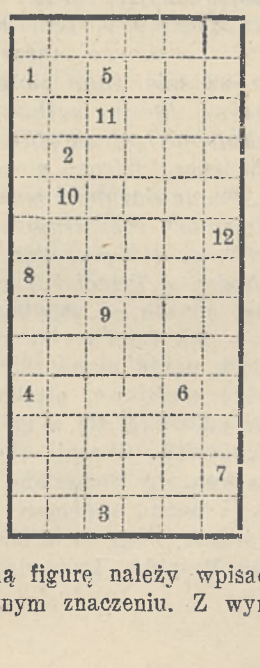
Postać w **raz-piątej** żenie napaście
wrogów i **dziewięć-sześć** miasto,
mozolnie **dziesięć i jedenaście,**
odległej Wielkości Zwiastun.

Ósme i drugie zbocze Wawelskie
jednastym-drugim-raz tynem
zbroi, nad smoka pociętym cielskiem
zwycięską stawia gontynę.

Trzy czwartym-piątym fałdy opończy
fruwają i płoszą ciszę,
i obserwacji nie dają dokończyć,
dziewięć-ósmego-ś krok słyszę.

ZAD. 8. — ELIMINATKA.

uł. J. Jodłowski — czł. Kl. Szar.



W podaną figurę należy wpisać 13 wyrazów o podanym znaczeniu. Z wyrazów tych należy skreślić litery wchodzące w skład klucza, pozostałe litery czytane w kolejności dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. imię męskie, 2. wieża obronna przy murze fortecznym, 3. wyspa na Oc. Atlantyckim, gatunek wina, 4. część rośliny. 5. sprzęt domowy, 6. dotycząca sądu, 7. uroczysta Msza św. śpiewana, 8. kosmetyk do włosów, 9. człowiek, zwierzę lub roślina płci męskiej, 10. spadła, przewróciła się, 11. narzekał na biedę, 12. tak jak 6., 13. zamożny.

Uwaga: Litery przypadające w figurze na miejsce cyfr, czytane w kolejności, dadzą klucz, składający się z dwóch wyrazów: 1) 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8. — 2) 9, 10, 11, 12.

Kupon Nr. 28/67

ważny do dnia 15 sierpnia 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Na kongresie ku czci Chrystusa-Króla w Poznaniu któryś z mówców rzucił pytanie, dlaczego to w Polsce masy robotnicze są pod tak silnymi wpływami socjalizmu? Pytanie, które się często w katolickich pismach rozważa, a które odpowiedź ma bardzo prostą... Dlatego masy robotnicze w Polsce są pod silnymi wpływami socjalizmu, bośmy nie zdołali stworzyć silnych związków zawodowych katolickich ani dla robotników, ani dla pracodawców.

Związki zawodowe odgrywają najważniejszą rolę na terenie robotniczym... Nie kulturalne, ani polityczne organizacje, lecz zawodowe. P. P. S., organizacja polityczna, jest liczebnie słaba i gdyby chciała urządzić pochód tylko swoich członków płacących wkładki, to byłby to pochód komiczny przez swoją małą liczebność. Ale z P. P. S. w najściślejszym stosunku są „klasowe" związki zawodowe i dzięki nim, tylko dzięki nim, P. P. S. wywiera wpływ tak wielki.

Otóż w Polsce katolickie (lub chrześcijańskie) związki zawodowe robotników są słabe i tu jest odpowiedź na rzucone wyżej pytanie.

Jest to dopiero jeden moment sprawy. Obok związków robotniczych winny działać katolickie związki pracodawców, jako ich odpowiednik. I tych prawie zupełnie nie mamy, bo na nazwę: katolickie związki pracodawców — zasługują tylko takie organizacje, które nie tylko nie przyjmują żydów, ale które ponadto za cel sobie stawiają realizację katolickich zasad społecznych, wyłuszczonych w encyklikach papieskich. Z tego względu może kogoś zainteresuje manifest wydany przez katolicki związek pracodawców we Francji, tzw. „Confederation Française de Professions", do której należy 14 tys. przedsiębiorców.

PRZECIW „KRÓLESTWU MATERII".

Manifest ten jest klasycznym przykładem znanej francuskiej jasności wyrażeń i logiczności. Składa się z 8 punktów.

Punkt I pt.: „Pierwszeństwo ducha" — stanowi filozoficzny punkt wyjścia dla dalszych ustępów manifestu. Wzywa on „przemysłowców i kupców" do szczerego praktykowania „religii, która by nie była tylko fasadą". A to znaczy — do kierowania się w życiu gospodarczym zasadami encyklik „Rerum novarum" (o sprawie robotniczej), „Quadrag. anno" (o nowym ustroju) i „Divini Redemptoris" (o komuniźmie).

W punkcie drugim pt. „Nasze metody" — odrzucono „zarówno marksowską zasadę walki klas, jak i praktyczny postulat liberalnego kapitalizmu, który człowieka rzuca na człowieka". W tym punkcie autorowie manifestu zaznaczają, że „nie przypuszczają wiecznego istnienia salariatu (tj. systemu polegającego na wynajmowaniu ludzkiej „pracy" przez „kapitał", — przyp. red. „Tygodnia"), lecz chcą zreformować jego obecny stan."

Punkt III („Kredyt") podnosi konieczność „wyzwolenia człowieka z niewoli maszyny i pieniądza". Autorowie manifestu zwracają się przeciw obecnemu systemowi kredytu, który jest narzędziem królestwa materii.

Punkt IV dotyczy roli przedsiębiorcy. Jest on nie tylko właścicielem kapitału, ale także czynnikiem odpowiadającym za moralny i materjalny stan pracowników. Zgodnie z zasadami encyklik autorowie manifestu radzą przedsiębiorcom przechodzić zwolna z obecnej „umowy o pracę" na „umowę spółkową", tzn. taką, która pracowników dopuszcza do udziału i w dochodach i w odpowiedzialności.

PLAN REFORM.

W punkcie piątym zalecono tworzenie „mieszanych komisyj studiów i postępu", które by miały za zadanie rozwijać i udoskonalać metody pracy, szkolenie zawodowe pracowników, stosowanie praw itp. w przedsiębiorstwach, zawsze w ścisłym porozumieniu dyrekcji z pracownikami.

Punkt VI dotyczy reformy spółek anonimowych. Już Pius XI — zresztą w zgodzie z wynikami studiów, które przeprowadzili katoliccy ekonomiści — zwrócił w enc. „Quadrag. anno" uwagę na liczne nadużycia, które się pod firmą tych spółek dzieją. Autorowie manifestu zalecają taką ich reformę, która by jednostki wciągała w „akcję osobistą i bezpośrednią", a „odpowiedzialność kierownictwa uczyniła bardziej skuteczną."

Głębiej w zagadnienie reformy ustroju wchodzą dwa ostatnie punkty. VII punkt dotyczy instytucyj korporacyjnych, które Pius XI zaleca. „Od organizacji zawodów (systemem korporacyjnym) — czytamy w manifeście — oczekujemy zdrowego rozwiązania problemów dzisiejszego życia, jak: konflikty kapitału i pracy, anarchia produkcji, bezrobocie starszych i młodzieży, dysproporcje zarobków, praca matek, straszliwy stan robotniczych mieszkań." Autorowie podają wskazania, jak te organizacje zawodowe mają wyglądać.

Na czym więc będzie polegała rola państwa? „Stworzywszy na drodze prawa organizację zawodów, państwo zachowa rolę kontrolera, jako reprezentacja dobra wspólnego" (punkt VIII). Nie będzie więc państwo pochłaniało społeczeństwa, ani zabijało prywatnej inicjatywy. Katolicki korporacjonizm jest przeciw etatyzmowi... Za pośrednictwem Narodowej Rady Gospodarczej będzie państwo czuwało nad należytym funkcjonowaniem syndykatów i korporacyj. „Żadna reforma gospodarcza i społeczna nie będzie skuteczna, jeśli nie będzie się opierała o stałą i silną władzę polityczną."

A U NAS?

Jest to manifest bardzo szlachetny. Pokazuje się, że katoliccy przemysłowcy Francji rzetelnie biorą sobie do serca katolicyzm i jego społeczne zasady. Dla nas Polaków jest to zjawisko nowe. Zebrania przemysłowców w Polsce ograniczają się do narad nad czysto gospodarczymi sprawami. Znam wypadek, że, gdy na jednym z takich zebrań, w którym zresztą udział brali sami katolicy, jeden z obecnych podniósł pewną praktyczną sprawę zostającą w związku z realizacją encyklik społecznych, ci „katoliccy" przemysłowcy prawie go wyśmiali. Jakże żądać od prostego robotnika stosowania zasad katolickich w życiu gospodarczym, jeśli przemysłowcy o tym nie myślą?

Jest duszpasterstwo dla biednych. Powinno być duszpasterstwo dla bogatych. Nie tylko nędza potrzebuje religijnego kierownictwa. Jeszcze bardziej potrzebuje go bogactwo. Piękne pole do pracy dla duchowieństwa, dla naszych katolickich socjologów, dla Akcji Katolickiej... **Pejot.**

Kronika religijna

KATOLICKA PRASA WĘGIERSKA.

Za ojca katolickiej prasy węgierskiej uważać można Antoniego Lonkay'a, który w połowie ubiegłego wieku założył pierwsze katolickie czasopismo węgierskie „Idök Tanuja" (Świadek czasów) dla przeciwstawienia się prądom ówczesnego liberalizmu. Ten sam Lonkay założył również pierwszy wielki dziennik katolicki na Węgrzech, „Magyar Allam" (Państwo Węgierskie) bez przerwy ukazujący się aż do roku 1910. Wybitnie opozycyjny ton tego dziennika nie pozwolił mu na szersze rozpowszechnienie, to też pod koniec ubiegłego wieku, w r. 1896 powstało dzięki inicjatywie hr. Ferdynanda Zichyego i Mikołaja Esterhazyego nowe budapeszteńskie pismo katolickie „Alkotmány" (Konstytucja), wokół którego poczęło się tworzyć parlamentarne katolickie stronnictwo ludowe.

„Alkotmány" było początkiem wielkiej organizacji, która dała Węgrom liczne nowe pisma katolickie, przeznaczone dla różnych warstw ludności. Siła katolicyzmu na Węgrzech tym czasem wzrastała, a to co raz bardziej pociągało za sobą konieczność stworzenia prasy naprawdę wielkiej i wpływowej. Inicjatywa prywatna już nie wystarczała, trzeba było wielkich kapitałów na stworzenie poważnej placówki prasowej. Propagandę w tym kierunku rozpoczął na krótko przed wojną o. Bela Bangha T. J. Celu dopięto dopiero w r. 1918 stwarzając centralę prasową katolicką z kapitałem zakładowym, opartym na akcjach 10 milionów koron (ok. 4 milionów pengö tj. tyleż złotych). Stworzona przez o. Bangha centrala prasowa w r. 1929 wydawała następujące dzienniki i czasopisma: „Nemzeti Ujsag" (Gazeta Narodowa), „Uj Nemzedek" (Nowa Generacja), „Kopes Kronika" (Kronika w obrazach), „Magyar Jogi Szemle" (Węgierski Przegląd Prawniczy), „Egyhazi Lapok" (Gazeta Kościelna), „Uj Lap" (Gazeta Nowa). Obecnie na czele węgierskiej katolickiej centrali prasowej stoi hr. Jan Zichy, a najbliższymi jego współpracownikami są Ivor Marsovszky i hr. Csekonics. „Nemzeti Ujsag" i „Uj Nemzedek" należą dziś do czołowych organów prasy węgierskiej w ogóle i posiadają razem nakład ok. 190 tys. egzemplarzy t. j. ponad 20% ogólnego nakładu całej prasy budapeszteńskiej.

KATOLICY W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Świeżo opublikowany został nowy na rok 1937 urzędowy rocznik katolicki Stanów Zjednoczonych A. P. („Official Catholic Directory).

Z rocznika tego dowiadujemy się, że liczba katolików w tym kraju, łącznie z t. zw. „incorporated territories" tj. Alaską i Wyspami Hawajskimi, sięga 20,959.134 dusz, co stanowi 16% ogółu ludności. Jeśli zwrócimy uwagę na fakt, że z innych grup wyznaniowych jedynie metodyści i baptyści mogą szczycić się większą od innych sekt protestanckich popularnością (pierwsi stanowią ok. 7,6%, drudzy ok 7% ogółu ludności, gdy członkowie innych wyznań sięgają najwyżej 2% w poszczególnych grupach), to przekonamy się, że katolicyzm w Stanach Zjednoczonych jest najpotężniejszą organizacją religijną.

Stan posiadania katolickiego stale wzrasta. W roku ubiegłym Kościołowi w Stanach Zjednoczonych A. P. przybyło ogółem 223.945 wyznawców (w tym 62.062 konwertytów z innych wyznań chrześcijańskich), w ciągu ubiegłych dziesięciu lat 2,305.000, a w ciągu ostatnich lat dwudziestu — 4,649.824. Opiekę duszpasterską sprawuje w Stanach Zjednoczonych 31.649 kapłanów z 125 kardynałami, arcybiskupami i biskupami na czele. Rozporządzają oni 18.526 kościołami, z których 139 przybyło w ciągu roku ubiegłego. W okresie tym utworzono 8 nowych seminariów, powiększając ich liczbę do 205 z 21.877 słuchaczy. Nie licząc uniwersytetów i wyższych szkół, w katolickich szkołach średnich pobiera naukę 207.767 uczniów i uczenic, a w niższych szkołach parafialnych 2,170.065 dzieci. Katolicy posiadają 325 sierocińców z 44.520 wychowankami, 170 przytułków dla starców i 672 szpitale.

Wydawnictwo amerykańskiego rocznika „Catholic Directory" święcić będzie wkrótce 30-lecie swego istnienia. Pierwsze wydanie tego rocznika ukazało się w r. 1879, nie było jednak pierwszym tego rodzaju wydawnictwem na gruncie amerykańskim. Poprzedziła je bowiem niewielka, 138-stronnicowa książeczka „Directory to the Catholic Church Service" wydana w r. 1822 przez proboszcza Power'a z N. Yorku.

KATOLICKA MŁODZIEŻ OXFORDU.

Liczba katolików studentów słynnego uniwersytetu oxfordzkiego jest dość znaczna, czego dowodem, że w ubiegłym roku akademickim studiowało tam ogółem 172 katolików i że posiadają oni własny związek „Oxford University Newman Society". Niedawno odbyło się doroczne zebranie tego związku, w którym wziął udział arcybiskup Westminsteru, Monsgr. Hinsley. Dostojnik ten wygłosił na zebraniu przemówienie, w którym przypomniał, że należał do tych, którzy przed laty podpisywali petycję do Watykanu z prośbą o zezwolenie katolikom na uczęszczanie do słynnego starożytnego uniwers. oxfordzkiego, a następnie złożył hołd tym, którzy wyszedłszy z murów tej uczelni na poważnych stanowiskach społecznych znaczne przysługi oddali sprawie katolickiej w Anglii. Na zakończenie złożył arcybiskup Hinsley powinszowania kapelanowi katolickich studentów Oksfordu ks. Knox z racji jego nominacji na prałata domowego Jego Świątobliwości. Ks. prałat Knox, syn anglikańskiego „biskupa" Manchesteru, był przed swoim przystąpieniem w r. 1917 do Kościoła katolickiego anglikańskim duchownym przy Trinity College w Oksfordzie. Wpływ jego nie tylko na młodzież, ale i na sfery inteligencji angielskiej, dzięki licznym pismom, kazaniom i całej pracy duszpasterskiej, jest bardzo wielki.

Młodzieżą katolicką uniwersytetu oksfordzkiego opiekuje się stowarzyszenie „Oxford University Catholic Association", któremu obecnie przewodniczy Lord Rankeillour przy współudziale znanego profesora F. de Zulzeta, jako sekretarza. Dzięki pomocy tego stowarzyszenia utrzymana jest kapelania katolicka uniwersytetu i pokryte zostały koszty wzniesienia kaplicy katolickiej.

Z obcej niwy

Patologia neopogaństwa

„Dopiero w roku 1947, po dziesięciu latach od chwili obecnej będziemy mogli stwierdzić, jaki ostateczny rezultat przyniesie podjęta przez nas walka przeciw chrystianizmowi, żydostwu i masonerii. Wtedy bowiem naród żydowski wyzwolony z więzów doktryny chrześcijańskiej, paraliżującej ducha narodowego germanów, utworzy największą na świecie siłę militarną i potęgę państwową"(!)

Tego rodzaju „proroctwo" wygłoszone ostatnio przez propagatora neopogaństwa gen. Ludendorffa, zamieszcza „Vaterland", podając jednocześnie najnowsze dane o działalności nowego „proroka" i założyciela nowej sekty, zwanej „niemieckim poznaniem Boga" (die deusche Gotterkentniss). Okazuje się, że zwolenników posiada obecnie gen. Ludendorf ok. 200.000, a wydawane przez generała i jego małżonkę Matyldę czasopismo „Am heiligen Quell deutscher Kraft" (U świętych źródeł mocy germańskiej), rozchodzi się obecnie w 72.000 egz.

Nie byłby to objaw zbyt niepokojący, gdyż w Trzeciej Rzeszy kwitnie sekciarstwo. Jak podaje „La Croix", już w roku 1907 liczono w Rzeszy Niemieckiej ok. dwustu różnych „wyznań", a w ostatnich czasach liczba ta wzrosła do tysiąca... Ale w nowym „ruchu religijnym" propagowanym przez małżonków Ludendorff, więcej niż w innych sektach, występują te właśnie dziwne cechy psychologiczne neopogaństwa niemieckiego, które są tak niezrozumiałe dla zrównoważonych obserwatorów zzewnątrz.

Na te właśnie patologiczne znamiona neopogaństwa, które najjaskrawiej uwydatnia sekta pp. Ludendorff, zaczyna zwracać uwagę coraz więcej prasa europejska. Ostatnio „Revue des deux mondes" i „Osservatore Romano" rozpatrują t. zw. „casus Ludendorff" na tle przemian duchowych, jakie zachodzą w Trzeciej Rzeszy.

„W jaki sposób — zapytuje „Ossevatore Romano" — jak inteligentne na ogół społeczeństwo, jak naród niemiecki, daje posłuch, choćby tylko częściowo, niesłychanym nonsensom, od jakich roi się w ideologii małżonków Ludendorff? Okazuje się, że np. pan generał zachwycony pomysłami swej małżonki, stawia je ponad systematy największych mędrców świata. Pisze on dosłownie: „Pisma mojej żony Matyldy Ludendorff zawierają daleko głębszą treść, niż wszystkie razem wzięte dzieła Kanta i Schopenhauera". A dalej pan generał stawia taką niebywałą alternatywę: „Świat ma dziś do wyboru — albo Chrystusa, albo filozofię Matyldy Ludendorff".

Nic dziwnego, że wybitny publicysta francuski Robert d' Harcourt w „Revue des deux mondes" (18. VI. 1937 r.) w art. „Erich Ludendorff" zastanawia się również nad tym objawem graniczącym z patologią, jakim jest neopoganizm, propagowany przez niemieckiego generała. Zdaniem Roberta d' Harcourt naiwne sekciarstwo neopoganizmu nie ma w Niemczech widoków powodzenia na dalszą metę. Sam kanclerz Hitler pojednał się z Ludendorfem raczej ze względów politycznych i strategicznych. — Dla niego b. generalny kwatermistrz armii niemieckiej, który w swoim czasie kazał nazywać się „Feld-Herr" ze swą głośną teorię „wojny totalnej", może przedstawiać pewien autorytet wojskowy, nigdy zaś filozoficzny czy teologiczny.

Ludendorff, jako prorok i założyciel neopogaństwa, jako inicjator jednolitego niemieckiego „bloku moralnego" (seelische Geschlossenheit), na pewno — jak pisze Robert d' Harcourt — nie może być brany przez Hitlera na serio. Cała ta bowiem nowa „religia" zakrawa raczej na humorystykę, cała ta mieszanina pomysłów mesjanicznych mogłaby raczej ośmieszyć dzisiejszych przywódców Trzeciej Rzeszy. To też należy się spodziewać, że zdrowy zmysł narodu niemieckiego zwycięży i chwilowe zamroczenie w rodzaju pomysłów neopogańskich Ludendorffa lub Rosenberga, szybko minie.

„Gdy katolicyzm w Trzeciej Rzeszy — kończy R. d' Harcourt — zahartuje się w obecnych doświadczeniach, zacznie on silniej promieniować na całe życie społeczne. Wówczas potrzeba konsolidacji duchowej, jaką odczuwają rozdarte przez Reformację i późniejszy rozkład protestantyzmu Niemcy, odezwie się z nową siłą i przyczyni się niezawodnie do spotęgowania katolicyzmu. — Kościół bowiem — pomimo, że nieraz staje wpoprzek przesadnym pretensjom spaczonego nacjonalizmu, idzie jednak zawsze na rękę prawdziwej konsolidacji narodu. Tę prawdę wcześniej, czy później uczciwie miłujący ojczyznę przywódcy Trzeciej Rzeszy muszą zrozumieć".